Nr. 16. Lwów, Niedziela dnia 16. Grudnia 1877 r. **Tom VI.**



ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych rocznie **17** złr. **60** cnt. półrocznie **8** złr. **80** cnt. kwartalnie **4** złr. **40** cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni T. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

Jubileusz J. I. Kraszewskiego.

W roku przyszłym Polska obchodzić będzie pięćdziesięcioletnią rocznicę literackiej działalności J. I. Kraszewskiego.

Jeszcze może nigdy człowiek nie wykazał tak obfitego plonu pracy swojej w odpowiednim przeciągu lat dokonanej, jak J. I. Kraszewski ze swego pięćdziesięciolecia, i to przedewszystkiem podnieść winniśmy. Nie każdy obdarzony równemi zdolnościami, nie każdy otrzymał takie wychowanie i wykształcenie, nie jeden nie może się równać z Kraszewskim z tych lub owych powodów, ale każdy może tyle co on pracować, a jednak nikt nie potrafił tyle, nikt mu nie dorównał. Kraszewski pracuje dla tego, że kraj potrzebuje pracowników, pracuje, nie pytając, czy praca jego znajdzie materyalne wynagrodzenie, czy mu przyniesie korzyści. Wprawdzie nie od dziś wszystkie redakcye i wszyscy nakładcy upędzają się za pracami Kraszewskiego i jego nieporównana szybkość produkowania nie może nastarczyć żądaniom, ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Kraszewski mógłby dwa i cztery razy mniej pracować, a mieć te same dochody, podniósłszy tylko stosunkowo cenę swoich utworów. Lecz w pracy swojej nie swoich szuka on korzyści, zadawalnia się najmniejszem honorarjum, a gdy redakcya uboga, daje nawet bezpłatnie swoje współpracownictwo.

Tembardziej podnieść musimy tę jego bezinteresowną pracę, pracę dla dobra kraju, bo kraj tej pracy potrzebuje, tembardziej podnieść to musimy, bo tylko tych zasad trzymając się, można położyć tak wielkie w społeczeństwie zasługi jakie położył Kraszewski. Tembardziej podnieść to musimy dziś, gdy przyjętem zostało za zasadę przez wielu współczesnych pisarzy dopóty nic nie robić, dopóki nie zgłosi się nakładca i nie obstaluje sobie większej lub mniej pracy, powieści, artykułu, wierszyka lub coś po dobnego. Pisane w ten sposób rzeczy na obstalunek nigdy nie mogą mieć tej wartości, jaką mają wówczas, gdy pisarz kieruje się własnem natchnieniem, gdy pisze nie dla pieniędzy, ale dla dobra kraju, gdy nim kierują wyższe szlachetniej ze pobudki.

W epoce, kiedy Kraszewski wystąpił na arenę publiczną, literatura powieściowa nie istniała u nas. Mnóstwo powieści francuskich tłumaczono i karmiono tem publiczność. Kraszewski uczuł potrzebę wyrugowania z domów polskich wątpliwej wartości produkta obce i zastąpienia ich pokarmem swojskim, zdrowym, posilnym. Obdarzony olbrzymim talentem, ufny w swe siły, nie uląkł się niewykonalnego prawie zadania i w ciągu lat kilkunastu dokonał swego. A chociaż następnie miał już tak dzielnych sprzymierzeńców jak Korzeniowski, Kaczkowski i wielu innych, nie zwolnił w swej pracy, ale przez lat pięćdziesiąt karmił i karmi nas płodami swego ducha i gdy inni zeszli do grobu lub ustali po drodze, on wytrwał i ani na chwilę nie spoczął.

Po roku 1831 wszyscy nasi poeci, historycy i myśliciele znaleźli się na wygnaniu. Tam ogłaszali drukiem znakomite swe dzieła, ale naród nie wiele mógł z nich korzystać, gdyż cenzura troskliwie strzegła, aby nie przekroczyły granic Polski. Jeżeli społeczeństwo nasze nie zastygło na roku 1831, jeżeli zdążało za postępem, jeżeli w manifeście 22 stycznia 1863 r. wygłosiło najszczytniejsze zasady i wykazało, że ani na krok nie pozostało po za ogólnym postępem ducha ludzkiego, ma to przedewszystkiem do zawdzięczenia Kraszewskiemu. On nas nauczył kochać kraj, on rozniecił w nas tę gorącą miłość ojczyzny, której dowody złożyliśmy w 1863 r., on nas nauczył kochać lud i widzieć w nim braci naszych, on wpoił w nas poczucie piękna i dobra.

Pierwsza książka, jaką od lat kilkudziesięciu każdy z nas brał do ręki była Kraszewskiego. Jemu zawdzięczamy zamiłowanie w literaturze ojczystej, bo kto raz przeczytał powieść Kraszewskiego, ten szukał więcej dzieł jego i czytał ich setki, i szukał następnie innych oryginalnych polskich autorów.

Nie tu miejsce wyliczać zasługi męża, który pięćdziesiąt lat tak wielkiej pracy złożył na ołtarzu ojczyzny. Jeżeli o nich pobieżnie wspominamy, to tylko, aby nie pozostać na stronie, gdy cały naród szle mu wyrazy największego uznania i czci. Któż u nas nie zna, kto nie podziwia zasług jego. Nie temu się wszyscy dziwią, że Kraszewski olbrzymie zasługi położył, ale że człowiek mógł czegoś podobnego dokazać.

To też z synowską czcią wszyscy uchylają kornie przed nim czoła i proszą o błogosławieństwo. A każdy spieszy, aby czemkolwiek wykazać mu swoją miłość.

Mieszkańcy Lwowa wezwali prowincyę naszą do przyjęcia udziału w wybiciu pamiątkowego medalu (patrz nr. 15). Składki zbierają wszystkie redakcye i wszystkie księgarnie.

Redakcya „Tygodnika Illustrowanego“ przygotowuje wydawnictwo 15 celniejszych dzieł Kraszewskiego (patrz nr. 15 bliższe szczegóły podamy.) W Poznaniu wyjdą *Złote myśli* wybrane z dzieł J. I. Kraszewskiego.

Zresztą każda prowincya i pojedyncze osoby przygotowują bądź zbiorowe, bądź osobne dary. Szczególniej Polki, które najwięcej zawdzięczają sędziwemu jubilatowi przyjemnych chwil i dobrych wpływów na wykształcenie serca, bardzo gorąco tą sprawą zajmują się, a każdy dzień przynosi nam nową wiadomość w tym względzie.

Możemy być spokojni o to, że nikt nam nie zarzuci braku czci i wdzięczności dla wielkiego męża, a jeżeli w ubóstwie biednej naszej ojczyzny nie możemy zdobyć się na dary odpowiednie do wielkości zasług, to jednak i nasze ubogie, jako płynące z wezbranych uczuciem serc równie mile, a może nawet milej przyjęte będą przez czcigodnego jubilata, który jako syn tejże ziemi do ubóstwa jest przyzwyczajony i nawet ojczystego nieba nie ma nad swoją głową.

Oby Bóg jak najdłużej zachował go nam w dobrem zdrowiu.

KRWAWE ZNAMIĘ.

POWIEŚĆ

przez

J. J. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Repeszko słuchał z przerażeniem, szepcząc modlitewki na intencyą, aby go Pan Bóg od wszelkiego wspólnictwa z Jaksą uwolnić raczył; nie pojmował na co się mógł tu przydać. Tymczasem kasztelanic siadł i mówił dalej:

— Nie wiodło się i nam lepiej, ginęliśmy powoli; ale widoczny był ten palec Boży, we wszystkiem co stosunku dwóch rodzin tyczyło. Ojciec mój, gdy już majętność swą niemal całą był rozprószył, dostał przekazaną sobie przez nieznajomego człowieka darem pretensyą do Mielsztyniec, która Spytkom ich majętność odebrać dozwalała. Z dokumentów tych okazuje się, że nabycie dóbr było nieważne, a ten co je sprzedał, nie miał prawa rozporządzać niemi. Poszliśmy przed sądy, rozpoczął się proces. Z możnymi wszakże ubogiemu sprawy dojść trudno. Ojciec stracił na to resztę majątku, a ja zaprzestać musiałem, bo nie było o czem ich ścigać...

— No, to przedawnienie zaszło — przerwał żywo Repeszko — i cała ta pretensya dziś funta kłaków nie warta...

— Wstrzymajże się, a nie strzelaj tak popędliwie — rzekł Jaksa rozwijając papiery; — nigdyśmy ani ja, ani ojciec przedawnienia nie dopuścili; zanosiliśmy regularnie manifesta przeciwko przemocy, zostawiając sobie moc poszukiwania pretensyi naszych, które teraz tak urosły, iż mogą całe pożreć Mielsztyńce...

Repeszce zaświeciły oczy, ale stał niedowierzający jeszcze.

— Weźmiesz Wmość prawnika z Lublina i każesz sobie przejrzeć dokumenta — odparł spokojnie na nieme oczów pytanie; — ja ci papiery zostawię... przekonasz się. Sam procesu prowadzić nie mogę i nie chcę, ale pragnę abyś ty go przeprowadził i z niego korzystał. Dotąd nie pora była po temu; dziś... mówiłem ci, wybiła godzina, jest czas... tyś dla mnie Opatrznościowym zesłańcem. Drugiego takiego drapieżnego człowieka niełatwo wyszukaćby mi było.

Z obawą niejaką, z niedowierzaniem i jakby się chroniąc pokusie, zbliżył się Repeszko do stolika, na którym rozrzucone były papiery. Miał dosyć znajomości prawa, aby ważność dokumentów osądzić, wszakże na własną umiejętność spuszczać się nie chciał. Rzecz przedstawiała mu się tak ponętną, tak świetną, że mimo wstrętu, jaki w nim obudzał kasztelanic, ręce mu z chciwością drżały, gdy się wziął do przeglądania aktów.

Jaksa chodził po izdebce, poświstując. Spoglądał nań niekiedy i sam do siebie się uśmiechał, bo wiedział, że Repeszko oprzeć się nie potrafi tak wszechmocnej pokusie. P. Nikodemowi pot oblewał skronie, iskrzyły się oczy; ściskał konwulsyjnie papiery, które z kolei chwytał, rzucał i przeglądał.

— Ale jeśli w istocie — rzekł po namyśle, — przedawnienia nie ma, jeśli ta sprawa może wam dać Mielsztyńce, dlaczegoż nie użyjecie prawnika, któryby wam to za mniejsze pieniądze mógł poprowadzić i wygrać? Czemu chcecie mnie ustąpić zysku i tak... wspaniałomyślnie obdarzyć niezasłużonego?

Pytanie to wyrwało mu się mimowoli. Jaksa się uśmiechnął.

— Bardzo rozumnie badasz i słusznie mnie podejrzywasz, ale ja nie chcę w mojem imieniu procesować Spytków... ja muszę stać na boku... ja... to moja tajemnica — dodał żywo. — Może być, że przyjdzie chwila, w której ci zapłacę trud i odbiorę wszystko... a może za liche wynagrodzenie oddam ci Mielsztyńce.

— Więc ja mam pracować i łożyć na niepewne? — spytał Repeszko; — a na cóż mi się to zdało? Będę ważył, płacił, pocił się nadzieją, a potem...

— A potem ci łup wydrę może z pred paszczy... — przerwał Jaksa — ale ci zapłacę sowicie, słyszysz? zapłacę! O co idzie?.. Za pewnisz sobie prawnie i znój i koszta. Repeszko stał milczący, w niepewności wielkiej... zawracało mu się w głowie.

— Dlaczegoż pan cierpiałeś biedę dotąd, mogąc...

— Nie mogłem... — zawołał popędliwie Jaksa.

— Dlaczego? dlaczego? Tak jak ja dziś, podjąłby się był sprawy kto inny. W tem jest coś ciemnego...

— Tak.. i to pozostanie ciemnem na zawsze — rzekł śmiejąc się szydersko kasztelanic. — Dopóki żył Spytek, jam o głodzie, śmierci jego czekał; wiedziałem, że jestem narzędziem zemsty Bożej i że się jej doczekać muszę... Zresztą, słuchaj Repeszko, nie chcesz... nie ma roboty, weźmie ją kto inny... Wolałbym ciebie, boś ty cierpliwa pijawka, która gdy się raz do ciała przyczepi, wyssie z niego ostatnią krwi kropelkę

Gospodarz zadrżał, czując się odgadnionym, a nie pojmując jąk tu, w obcej stronie, gdzie go nie znano, gdzie niczem nie zasłużył na taki rozgłos... mógł go ktoś znać tak dobrze... Złożył ręce, podniósł oczy i westchnął, wzywając niebios na świadectwo, że go szkaradnie oszkalowano...

— A! panie mój! Ja, ja, najłagodniejszy z ludzi, który nikomu nie zmąciłem wody!.. ja..

— Cicho, cicho... — przerwał kasztelanic — durz sobie kogo chcesz, nie mnie. Ja z pierwszego wejrzenia wyczytałem najtajniejsze myśli twoje, znam cię, odgaduję do szpiku. Mnie nie skłamiesz nic. Każ dawać jajecznicę i zająca...

— Papiery — dodał Jaksa — zostawiam ci na tydzień; po tygodniu przyjadę po odpowiedź, a dasz mi ją w dwóch słowach: tak lub nie. Za dziesięć dni będzie proces rozpoczęty, a za...

Tu Jaksa umilkł i świszcząc, przechadzać się zaczął. Zwrócił zupełnie gdzieindziej rozmowę.

— Co z ciebie za sknera! — zawołał — co z ciebie za nędzarz dobrowolny!... Ani łyżki, ani miski, ani poczciwego nakrycia.

— Ale kredens jest jeszcze zapakowany, bo ja go nie używam — mruczał Repeszko — łyżki właśnie kazałem przerabiać złotnikowi, a bielizna cała w praniu.

— Szczęściem, że ja myśliwy jestem i na pniu palcami jadać przywykłem — odparł kasztelanic; — ale pień jest czystszy od twojego stołu...

Repeszko przytuliwszy się do ściany, płaski, nikły, po cichu wysunął się za drzwi, nie śmiąc słowa odpowiedzieć.

Dano nareszcie do stołu i konferencya się skończyła. Ale po zamyślonych twarzach gospodarza i gościa widać było, że ich ciężkie trawiły niepokoje. Repeszko obawiał się straty, a żałował wypuścić z rąk zyski; kasztelanic zdawał się nie pewien jeszcze co pocznie i sam z siebie niezadowolony. Zjedli prędko i Jaksa począł się żegnać.

— Papiery zostawiam ci — rzekł — za tydzień przyjadę po odpowiedź: tak lub nie. Może też być, że ja powiem jeszcze nie, rozmyśliwszy się. Korzystaj; toć to twoja robota na świecie, mosanie Repeszko, na toś stworzony, abyś z nas soki wysysał.

Oburzony gospodarz chciał protestować.

— Cicho — ofuknął Jaksa — ja cię znam lepiej niż sądzisz, mnie ty nie skłamiesz, leżąc krzyżem i stękając na podłodze kościelnej. Ależ ty mi taki potrzebny, jakim cię Bóg na strapienie ludzi stworzył. Bywaj zdrów i nie sądź, że mnie oszukasz.

To rzekłszy Jaksa nakrył głowę, wyszedł z izby i nie mówiąc słowa, odjechał do Rabsztyniec.

Bywają chwile życia stanowiące w nim kryzys, kres jednej epoki, a świt nowej, drugiej, ledwie z pierwszą wspomnieniami związanej. Człowiek wstaje nagle jak po obłożnej chorobie, w której walczył między życiem a śmiercią; wstaje odrodzony, czując, że to co pozostawił za sobą, było jakby innem, odrębnem istnieniem. Im czulszą i wrażliwszą jest organizacya człowieka, im doskonalszą jego natura, tem więcej ulega takim przeobrażeniom, oszczędzającym mu dróg powolniejszych, jakiemi wlec się muszą inni. Zarzucają nieraz dziwactwo ludziom, nielogiczność ich biografom; ale można poradzić co przeciwko fenomenowi, który jakkolwiek może być niepojętym dla wielu, jest powszednim i zwyczajnym? Widzimy go powtarzającym się niemal codziennie.

Dość spojrzeć na świat i istoty wybrańsze, które na nim część wieku przeżyły.

Takiemu przeobrażeniu nagłemu uległ młody Eugenek w przeciągu bardzo krótkiego czasu. Jedno słowo kasztelanica podrażniło jego dumę, obudziło wstręt, wstrząsnęło myślami śpiącego, jeden wieczór zastanowienia i dumania, kilka wyrazów starego Siemiona, głos wreszcie omszonych murów mielsztynieckich, zmieniły go do niepoznania. Płochy nieco i roztrzepany chłopak, nagle zmężniał na duchu, spoważniał postawą. Zachmurzyło się jego czoło, poczuł w sobie spadkobiercę wielkiego i nieszczęśliwego rodu, powołanego do jakichś nieznanych obowiązków, nie władnącego sobą, związanego tradycyi nicią z praojcami... Cała ta noc przeszła mu na dziwnych marzeniach. Śnił, że jego sypialnię otaczały mary do ożyłych wizerunków portretowej sali podobne; u łoża jego siedziała niewiasta z krwawą różą w ręku i krwa-

wym znakiem na szyi; starcy opowiadali mu dzieje domu.

W tym śnie nie brakło ojca, ale nie było matki. Nie wiedzieć dlaczego, uczuł się dla niej ostygłym, prawie nieufnym i zażalonym za to, że się okazała w ostatniej chwili zbyt dla Jaksy pobłażającą. W nim on już teraz nienawidził wroga. Jakiś gwałtowny wstręt, z każdą chwilą rosnący, rozżarzał się w sercu jego dla tego człowieka, w którym nieprzyjaciela postrzegł objawem nagłym.

Wstał pod wrażeniem tych nocnych widziadeł i przypomniawszy wieczór wczorajszy, poszedł się najprzód upewnić, że książka, którą wziął w bibliotece leżała w jego szafie. Zapieczętowane karty kusiły go; spojrzał na nie, ale jakież było podziwienie jego, gdy sznur znalazł potargany, pieczęcie załamane, tajemnicze arkusze rozlepione!..

Nie mógł uwierzyć swym oczom, tak był pewien, że wczoraj włożył ją na pułkę nietkniętą. Miałże ją przez sen nieprzytomny sam otworzyć, czy siła jaka tajemnicza rozkryła mu je umyślnie, aby nic ciekawości jego nie powstrzymało?..

Świat nowy, w który wchodził Eugenek, pełen widm, cudowności, duchów, podań żywych, tak był różnym od tego, do którego z dzieciństwa przywykł, oddychając powietrzem jasnem i weselem południa, sceptycyzmem Zachodu, to co doświadczał tak się nie godziło z tem w co wierzyć, a raczej w co niewierzyć go uczono, że chłopię pogodzić nie umiejąc sprzeczności, całe się czuło wzburzone, zachwiane.

Były to pierwsze w życiu jego zapasy. Odprawiwszy Zaranka do książek, krótki dzień dobry oddawszy matce, którą znalazł smutną, z oczyma do zapłakanych podobnemi, Eugenek pobiegł do biblioteki i tam zamknął się z rękopisem, aby pożreć chciwie jego tajemnicze karty.

Co się działo w sercu pani Spytkowej, tegobyśmy pewnie określić nie potrafili. Szczęściem w papierach, które służą za materyał tej powieści, znalazł się ułamek jej listu, pisany do przyjaciółki lat dziecinnych i powiernicy, z którą się każdem wrażeniem dzielić była przywykła. Daleka ta krewna mieszkała w Warszawie, gdzie mąż jej na dworze znakomite zajmował stanowisko. Wychowane razem, jak dwie siostry kochające się czule, Brygita i Łucja, rzadko się widując, zastępowały dla siebie świat cały. Jak Brygita, Łucja była nieszczęśliwą w małżeństwie, opuszczoną przez wietrznika, samotną, obie potrzebowały boleść z serca wylać, bo mało jest ludzi co ją zamknąć i w ciszy pokonać potrafią; latały więc co kilka dni kartki do stolicy, a w nich każde bicie serca czuć się dawało. Niewiele z nich ocalił przypadek.

List bez daty, który widocznie do tych dni się odnosił, po opisie ostatniej bytności Iwona w Mielsztyńcach, kończy się takim ustępem:

„Łucjo kochana, chciałabym ci się wyspowiadać tak szczerze nawet z grzesznych myśli moich, jak przed kapłanem na ostatniej spowiedzi. Ale czyż ja sama siebie rozumiem, czy ja władam sobą? To co mnie teraz otacza, od dnia śmierci człowieka, którego imię noszę jeszcze i po którym zostały mi resztki ciężkich kajdan, dźwiganych długo, zdaje się jakby w sen gorączkowy życie moje zmieniło.

„Syn mój — o przeznaczenie! — przywiódł mi tu tego człowieka, którego starałam się a nie mogłam zapomnieć. Stanął przedemną, widmo żywe młodości, zeschły liść tej wiązki kwiatów, której woń mię poiła... Kilkanaście lat surowa, niezbłagana dla siebie, bez łzy, bez jęku, zimna, kamienna, znosiłam straszliwą torturę. Słyszałam, patrzyłam niemal jak on się szarzał, upadał i upadał... myślałam żem zobojętniała, że jeśli co zostało we mnie z dawnych uczuć, to się jak wino w ocet z gniewu zmieniło. Ale któż pojmie co jest za potęga w młodości i węzłach, które się latami młodemi sprzęgają!...

„Na korze młodego drzewa ledwie znaczną ktoś nakreślił głoskę, rosła ona, zolbrzymiała, stała się raną otwartą, niezgojoną... i drzewo ściąć trzeba było, aby to znamię zniweczyć. Wrosło w jego rdzeń, wypiętnowało się w tkance, nieznaczne zrazu, na starość jest niestartą blizną. Tak dzieje się i z miłością dni młodych. O moja najdroższa! obraca się ona w nienawiść, w gniew, w pogardę, a na dnie ich wiekuje niezwalczoną namiętnością. Z pogardą przyjęłam tego człowieka, mówiłam z gniewem do niego, piorunowałam go oczyma, a łzy z nich ciekły, i chwilami temu zwiędłemu, skalanemu człowiekowi chciałam się rzucić na szyję, lub do nóg upaść i płakać... I płakać, ażeby ze łzami dusza poszła, która nigdy, nigdy zaspokojoną być nie może, a jednak, nigdy miłości upokarzającej pozbyć się nie potrafi! Praca lat kilkunastu nad sobą, siła moja, panowanie, w proch się rozpełzły, siebie nie poznaję. Wypędzam go... i lękam się aby nie poszedł; brzydzę się nim... i głosu jego, tego spiewu dni wiosennych, słucham z rozkoszą; męczę się mojem spodleniem, niedolą... i czuję, że w paszczę smoczą pójdę słaba, złamana, gdy mnie zawoła, że zapomnę obowiązków, dziecięcia, żałoby którą noszę, imienia!...

„Wstyd mi siebie, a umrzeć nie umiem, a żyć bezecna pragnę.

„Ażebyś pojęła całą nędzę moję, powinnabym ci odmalować tę istotę, która we mnie wstręt obudzając, pociąga szatańskim urokiem.

„Kochałam go niegdyś młodym, pięknym, pełnym szlachetności i zapału. Co za ruinę straszną uczyniły z niego lata! Szyderski, sterany, zimny, bezwstydny, czego nie mówi usty, każe się domyślać postawą, wzrokiem, ruchem, atmosferą, która go otacza.. Jestto anioł upadły, czarny, spalony, a ja skazaną jestem widzieć w nim i pod nim anioła marzeń moich. Gardzę nim i kocham go namiętnie, brzydzę się i żyć bez niego nie mogę; czuję, że będę nieszczęśliwą, że się zmażę słabością, że z tego tronu wdowiego, na którym siedzę królową, zejść będę musiała na niewolnicę wzgardzoną i służebną... a... nic już mnie powstrzymać nie potrafi.

„Pożegnałam go, odpędziłam jako Spytkowa; alem wyszła po chwili, przyciągając go słowem łagodnem, jak dawna kochanka. Nawet widok ludzi i dziecka nie powstrzymał mnie... Płaczę nad sobą gorzkiemi łzami. Chwilami winy wszystkie przypisuję sobie... to znów jemu; pałam zemstą i łzy leję. Na domiar nieszczęścia, przypomnij sobie nieprzyjaźń wiekuistą rodzin, którą ja odziedziczyć powinnam... Nie jestże to fatalność? Powiedz mi co mam czynić? Modlitwa nie pomaga, Bóg nie słucha...“

Nie dziw, że po tym liście wyjazd do Warszawy już postanowiony, wkrótce odłożonym i zapomnianym został. Pani Spytkowa dnie spędzała w kaplicy, kilka razy wyjeżdżała na polowanie, zamykała się w swoich pokojach, z synem była milcząca i o podróży nie mówiła wcale. Jaksa się nie pokazywał, choć zaproszony, a Eugenek wcale też nie myślał go szukać i przyciągać. W Mielsztyńcach smutniejsze jeszcze może niż za starego pana, jak go zwano, poczęło się życie.

(C. d. n.)

O METODZIE PRACY NAD LUDEM.

V.

Religijność ludu jako czynnik cywilizacyjny. *)

Staraliśmy się udowodnić, do jak niebezpiecznych prowadzić może następstw przedwczesne wciąganie ludu w grę polityki stronnictw, dokąd on nie dojrzał jeszcze do samodzielnego sądu o publicznych sprawach.

Gdy jednakże jest mowa o stronnictwach politycznych, mimowoli nasuwa się także na myśl i ów żywioł, który użył religii za sztandar polityczny, i jako *eclesia militans* wszystkie potęgi tego świata do walki wyzywa, czyli krótko mówiąc obóz ultramontanów — beznarodowościowy, zasadniczo przeciwny wszelkiemu postępowi w duchu liberalnym.

Czyż ten zastęp wykluczyć od wpływu na lud?

Na to odpowiadamy: *nie* — z najgłębszego przekonania sumiennego, właśnie ze względu na ową fundamentalną zasadę, iż pierwszym warunkiem pomyślności w cywilizacyjnej pracy nad rozwojem umysłowym i naprawą dobrobytu mas ludowych jest to, iżby na tem polu nie było innej walki stronnictw, jak tylko szlachetna, pogodna emulacya w tym kierunku, *kto najwięcej dodatnio zdziałać potrafi!*

Obliczmy tylko realnie siły naszych stronnictw, wszystkich razem, ile ich tylko jest: i ultramontanów i liberalnych, „białych“, „czarnych“ i „czerwonych“ ze wszystkich obozów, a przekonamy się, że w naszym kraju suma ludzi oświeceńszych, zdolnych do samodzielnego myślenia, nie przeniesie 10% całej ludności. Więc niechaj tam kto jaki chce ma sobie program polityczny, byle tylko był człowiekiem dobrej wiary i rozumnym, a chciał pracować na niwie oświaty ludowej i podniesienia jego dobrobytu, to niech pracuje, niech jak najwięcej pracuje! Na tem polu zaiste, jak już wyżej powiedzieliśmy niejednokrotnie, zmieścimy się wszyscy snadno...

Słusznie ktoś powiedział, gdy była mowa o wzajemnem ustosunkowaniu stronnictw na arenie pracy nad ludem, że bez względu na różnice

---

*) Sprawę oświaty ludu i dyskusyę nad sposobami przeprowadzenia takowej uważamy za tak ważną, że chętnie otwieramy szpalty naszego pisma nawet dla opinii, z któremi się nie zgadzamy, aby dać najszersze pole dyskusyi. Z tych powodów zamieszczamy niniejszy artykuł pomimo iż nie podzielamy zapatrywań autora. (Red.)

*

programów naszych powinniśmy starać się powstrzymać pruchnienie korzenia, z którego wyrośliśmy; niech społeczność nasza zdrowo rozrasta się w pnia, w rdzeni, a o barwę kwiatu mniejsza. Możemy być bezpieczni, że ze zdrowego pnia, zdrowy wyrośnie owoc.

Tej zasady trzymać się wypada konsekwentnie w uregulowaniu wzajemnego stosunku pomiędzy żywiołami liberalnemi a ultramontanami w pracy nad umoralnieniem i podniesieniem materyalnego dobrobytu ludu. Byle tylko narodowi przybywało ciągle jak najwięcej umysłów rozwiniętych, byle nędza ustępowała z kraju, to doprawdy wszystko jedno, kto tam do tego najskuteczniej przyczyni się.

Zresztą i nad tem wypada się zastanowić, kto to są właściwie u nas ci, których my potocznie nazywać przywykliśmy *ultramontanami*?

Czy księża?

Otóż wiemy, że jak pomiędzy ruskimi księżami nie przypada nawet jeden na dziesięciu skrajnych przekonań prawosławno moskiewskich, gdy ogół należy do umiarkowanych katolików, tak znowu pomiędzy łacińskiem duchowieństwem także tylko wyjątkowo zdarzają się fanatycy w duchu jezuickim, gdy ogół duchowieństwa, nie wyjmując nawet najwyższych dygnitarzy kościoła rzymsko-katolickiego w naszym kraju, pamiętając o interesach kościoła, nie jest obojętnym dla spraw obywatelskich. Szczególniej zaś co się tyczy rozsianego pomiędzy ludem duchowieństwa parafialnego obu obrządków katolickich w naszym kraju, to przyznać należy, iż przeważna jego większość składa się z dobrych obywateli w rzetelnem tego słowa znaczeniu, którzy nigdy nie odmawiają swej pomocy, gdy chodzi o uczciwą sprawę, dobra powszechnego dotyczącą. Zresztą ktoby chciał wyłączać ultramontanów i jezuitów od pracy nad ludem, ten byłby w prawdziwym kłopocie, gdzie ich pierwej ścigać, czy pomiędzy duchowieństwem, czy też po dworach, które z pewnością niemniej są „ultramontańskiemi“ jak księża nasi. A w takim razie kto miałby pracować nad cywilizacyą ludu? Czy cały ogrom prac, w ten zakres wchodzących, mamy wziąć na swe barki my, postępowi, którzy po największej części nie mamy przystępu bezpośredniego do ludu, którzy nie znamy go dobrze, oderwawszy się daleko pojęciami naszemi od jego wyobrażeń i uczuć.

Kto zna lud choć trochę, ten wiedzieć musi, iż wszystkie szlachetniejsze instynkta jego opierają się na uczuciach religijnych. A ponieważ cywilizacya w właściwem pojęciu tego wyrazu nie jest niczem innem jak tylko rozwinięciem dobrych i dodatnich sił społeczeństwa, więc też rozsądek nakazuje liczyć się z tym faktem, że religijne uczucia ludu potrzeba przyjąć za podwalinę dalszego jego rozwoju umysłowego. Kto bowiem dziś w imię jakichkolwiek zasad, chociażby najszczytniejszych, chciałby niweczyć zabobonną pobożność ludu, ten musiałby chyba w powietrzu budować gmach oświaty ludowej, zniszczywszy gotowe już fundamenta. Weźmy za przykład pierwszego lepszego z najskrajniejszych naszych liberałów, jaką drogą rozwijały się w jego duszy pojęcia zasadnicze? Czy nie miał każdy z nas w dzieciństwie żywej wiary, odzianej w formy poetyczne, przez matki nasze w młode serca wszczepionej? Czyż nie pamiętamy przebiegu tego procesu psychicznego jaki odbywał się w naszem wnętrzu, gdy naiwne wierzenia duszy dziecinnej ustępowały powoli poglądom szerszym, dalej sięgającym w tajniki wszechistnienia, poglądom, które człowiek tylko wtedy przyswoić sobie zdoła, gdy się nauczy samodzielnie wnikać myślą w zagadki życia?

Otóż tak samo rzecz się ma i z masami ludu. Dziś moralność jego łączy się najściślej z religijnemi uczuciami, więc też i rozwój jego rozumowych pojęć musi się odbywać na tej podstawie, tj. religijność ludu należy spożytkować jako pierwszy czynnik cywilizacyjny i do tego przystosować wypada metodę dalszej pracy nad oświatą tegoż ludu. Trzymając się zaś tej naturalnej drogi możemy być pewni, że najraźniej będzie wnikał w serca i umysły ludu prąd cywilizacyjny, a w takim razie możemy być o przyszłość spokojni...

Więc jezuici i liberały, księżą i świeccy, młodzi i starzy, pracujmy wszyscy zgodnie na niwie cywilizacyi ludu, nie kłóćmy się o to, kto z nas powinien być przewodnikiem w tych usiłowaniach, tylko niech każdy z nas robi, co może, a jak na łanie zboża ten przewodniczy żniwiarzom, kto najprędzej żnie, tak pomiędzy nami niechaj tylko to jedno istnieje współzawodnictwo, kto najwięcej zrobi?

Teofil Merunowicz.

SZKICE Z DZIEJÓW FILOZOFII POPULARNEJ
(wiek XVIII.)

przez

Dr. Juliana Ochorowicza.

I.

Filozofia kościelna.

Zwycięstwo zasady przyczynowości nad wiarą w przypadkowe koleje narodów, nadało całkiem nową postać współczesnym pracom historycznym. Przestano uważać historyą za wiązankę luźnych wypadków, za wypływ woli książąt lub zewnętrznej względem dziejów potęgi, a natomiast poczęto odnajdywać w przeszłości wewnętrzne przyczyny faktów, które ze swej strony innym, następnym, za przyczynę służyły. Tym sposobem historyą domów panujących uzupełniono dziejami ludów, stanów i warstw społecznych — dzieje polityczne, dziejami przemysłu, handlu, sztuk i nauk, wreszcie filozofii i moralnego rozwoju. I w tej jednak reformie jak w każdej innej, istnieją strony słabe, z których jednę głównie weźmiemy tu pod uwagę.

Wprowadzając do historyi politycznej historyą umysłowego rozwoju, prawie wyłącznie zajmowano się *objawami postępowemi.* Wyliczano dokonane w danym czasie wynalazki, odkrycia, ulepszenia, nowe teorye i nowe instytucye, a więc te wszystkie objawy, które nigdy *współcześnie* większych następstw sprowadzać nie mogły, lecz dopiero z upływem czasu, przyjmując się i rozkrzewiając, stanowiły istotną cechę rozwoju *następnej* epoki. Jeżeli zaś tak się rzecz miała z odkryciami i wynalazkami praktycznemi, to cóż dopiero mówić o tych postępach ściśle naukowych, które przy zupełnym prawie braku popularyzacyi, przy odosobnieniu kasty uczonych, długi czas wywalczać sobie musiały uznanie, nie już szerszych kół społecznych ale samych nawet badaczów! Działo się więc, że reformy naukowe, że nowe systemy filozoficzne zcierały się ze sobą i następowały po sobie, bez współczesnego widocznego wpływu na całe masy ludu, które przecież główne tło dziejów składały. Obok odkryć przyrodniczych, krzewiły się dalej odwieczne poglądy i przesądy, obok nowych systemów filozoficznych i w około nich żyła i przewodniczyła ludziom *filozofia popularna, ludowa,* nieujęta w system, nie mająca wybitnych twórców, splatana i łatana przez wieki całe, złożona ze sprzecznych dążeń i zapatrywań, a stanowiąca przecież prawdziwe podścielisko, dla iście systematycznych, postępowych badań.

Ktoby chciał tej popularnej, ludowej filozofii szukać w podręcznikach do historyi systemów od Thalesa do Hartmanna i Spencera, tenby jej szukał napróżno. Jest ona tak mało związaną z dziejami umiejętnej filozofii, jak poezya ludowa z poezyą dworów i salonów, a przynajmniej tak mało, jak dzieje teoryj pedagogicznych z historyą szkół i wychowania.

To też odtworzenie tej panującej atmosfery moralnej, na tle której ukazywały się promienie świtu nowych zasad, gromy sporów, albo ognie i dymy rewolucyi — jest o wiele trudniejszem i mozolniejszem, niż skreślenie postępu nauk, albo rozwoju systemów. Tych ślady pozostały w czynach i w pomnikach, spisano ich dzieje, zachowano dokumenta — ową zaś atmosferę moralną dopiero odtwarzać trzeba z pism mniej głośnych albo całkiem zapomnianych.

Ale też, jakże zajmującem jest poznanie tego stanu duchowego, który nam dzieje rozwoju tłumaczy, jasne rzucając światło i na same polityczne wypadki! Zwłaszcza wiek XVIII, wiek rewolucyi francuskiej ze swemi dziwnie zmieszanemi prądami filozoficznemi i socyalnemi, jakże ciekawy i barwisty przedstawia widok! Z jednej strony dogmatyzm i nietolerancya, z drugiej rozkładowy krytycyzm i swawola; mistycy, alchemicy i magnetyzerzy walczą o lepsze z materyalizmem francuskich reformatorów i ze ścisłą nauką przyrodników, jezuici z wolnomularstwem, arystokracya z demagogią, romantyzm z klasycyzmem, prawa tronów z prawami ludów, a wszystko to zlewa się w dziwnie fantastyczny a zarazem krwawy dramat, po którym zapada kortyna, oddzielająca świat nowy od starego.

Ogólnikowe rozprawy nad stanem umysłowości europejskiej w XVIII wieku przed rewolucyą francuską, nie mogą nigdy dostatecznie uprzytomnić tego rozkładu ról, dekoracyi i przygotowań, który sam dramat poprzedził. Dopiero czytając owe *popularne* pisma sprzecznych kierunków, możemy zrozumieć zarówno siłę przesądów, jak i konieczność reformy. To też sądziłem, że nie będzie bez interesu dla myślących czytelników sprawozdanie z tych dzieł i broszur zeszłowiecznych, zarówno polskich jak obcych, które nie będąc dziś prawie wcale znane, w swoim czasie jednak bardzo były czytane, ponieważ odpowiadały duchowi i wymaganiom różnych warstw społecznych, jako wyraz ich własnych przekonań.

Pracując nad historyą psychologii i zbierając rzadsze książki i broszury, znalazłem wiele takich, które właśnie owe popularne filozoficzne kierunki streszczały, albo też doskonale objaśniały, dając obraz współczesnych ruchów umysłowych. I z temi i z owemi mam zamiar zapoznać czytelników „Tygodnia“ w szeregu szkiców, o ile mi siły i okoliczności pozwolą.

Weźmiemy najprzód pod uwagę bardzo już rzadkie, a w swoim rodzaju wysoce charakterystyczne dzieło ks. Gaudencyusza Pikulskiego. Nosi ono napis następujący: (Górna część tytułu oddarta, zdaje się jednak, że były tam wyrazy: *Uniwersalny sukces świata czyli....*) *...Historya uniwer-*

salna "O pierwszych Rodzicach Adamie i Ewie, początku Monarchii, Królestw, y Miast sławniejszych, zaczawszy od Stworzenia Świata aż do teraźniejszych czasów. Krótko napisana przez W. księdza *Gaudencyusza Pikulskiego* Zakonu Ś. O. Franciszka Ścisłej Obserwancyi, Prowincyi Ruskiej Teologa do Druku Podana Roku 1763. w Lwowie w Drukarni Jana Szlichtyna J. K. Mci Uprzywileiowanego Typografa." Obejmuje ono 819 str. druku, z których blisko 300 samej historyi polskiej poświęconych. Zobaczymy jednak, że pomimo tej, przeważnie historycznej treści są tam liczne ustępy, które i nie historyka zająć mogą.

Autor zaczyna od kwestyi pochodzenia człowieka opierając ją naturalnie na powadze biblii. Niemniej jednak każdy punkt biblijnego podania rozbiera tak szczegółowo, że z całego opisu składa się właściwie jego osobisty pogląd niby krytyczny, a przecież zgodny z poglądami kościelnemi.

Przedewszystkiem chodzi mu o to, dla czego Pan Bóg stworzył zwierzęta z niczego, człowieka zaś z mułu ziemi? Sądzi, że główną i „najgruntowniejszą" tego przyczyną była sama wola boska, że jednak istnieją jeszcze inne „dość przystojne" mniemania, które fakt ten usprawiedliwiają. Między innemi chodziło Panu Bogu o wyróżnienie człowieka od zwierząt. I tu autor robi wycieczkę przeciw współczesnym darwinistom: „Gdyby tak był Pan Bóg stworzył człowieka z niczego, jako inne zwierzęta, (mówiono), mieliby większy fundament owi heretycy, którzy z Ateistami rozumieją, że człowiek ma jeden z bydlętami początek i koniec, tak śmiertelną duszę jako i tamte żywioły; tem się tylko różni od nich, mówią oni, iż jest zwierzę doskonalsze, dowcipniejsze i rozumniejsze od inszych, a to z tej okazyi, że może mówić; przez co jeden drugiemu komunikuje subtelniejszego dowcipu swego i *tak się jeden od drugiego ucząc, co raz w lata i rozum lepszy rośnie.*" (Widocznie między współczesnymi autorami istniały już popularne pojęcia o stopniowym rozwoju umysłowości ludzkiej ze zwierzęcej.) Czytamy dalej: „Inne zaś bydlęta mówić nie mogą, i nie mają sposobu do nabycia większej umiejętności, nad którą im dawca natury i sama ich istota udzieliła. Przytem człowiek ma lepszą dyspozycyą ciała, niżeli insze zwierzę, która mu jako do obrotów ruszenia się pomaga, tak i do lepszego doświadczenia w rzeczach służy. I jako widzimy, że pies od wołu, małpa od psa, słoń od małpy jest nierównie dowcipniejszy, tak dalece, że tylko przemówić nie może, a przecie ztąd sobie nie wnosimy, że słoń ma rozumną i nieśmiertelną duszę, tak i o człowieku sądzić nam potrzeba, który chociaż jest rozumniejszy od małpy i słonia, jednak przeto nic więcej nie ma oprócz dowcipu większego nad wszystkie zwierzęta." Autor opowiadając teoryą swoich przeciwników, rozszerza ją nawet do aniołów i do Stwórcy samego, tak jak gdyby wszystkie były żyjące, jedną drabinę stanowiły: „Po Bogu jest Anioł, który w istocie swojej jest nierównie i nieskończenie podlejszy od Stwórcy Boga, ale doskonalszy od człowieka; człowiek zaś podlejszy od Anioła, ale doskonalszy od wszystkich zwierząt; Słoń jest podlejszy od człowieka, ale doskonalszy od małpy, od psa, i tak ten porządek może się uważać aż do najlichszego robaka, który ani nóg, ani skrzydeł nie ma, i ten jest od wszystkich doskonalszy nieżyjących rzeczy, ale podlejszy od wszystkich zwierząt; tak mówią owi heretycy..."

Ubolewa nad niemi autor i nad ogólnem współczesnych mu zepsuciem:

„Zpolityczniał świat w starości swojej, nowej nietylko na ciele i na duszy szuka mody, już do tego nierozeznania przychodzą i teraźniejszych filozofów dowcipy, ażeby naukę filozoficzną w nową ustroili sukienkę, na to zakrawając uczą: że dusza bestyj jest tak duchowna jako i człowieka; cóż zatem idzie? jeżeli nie osłabienie nieśmiertelności ludzkiej? Tak bowiem nauczając, albo potrzeba pozwolić, że jest tak nieśmiertelna jak i ludzka, albo przyznać muszą, że są śmiertelne obiedwie: gdyż duchowieństwo dalekie od Materyalności jest początkiem nieskazitelności w duszy naszej."

Ksiądz Pikulski zwraca jeszcze uwagę na bardziej uroczyste i „pracowitsze" stworzenie człowieka niż innych istot, i przechodzi do rozbioru pierwszych sześciu dni stworzenia.

Czytamy tam między innemi:

„Drugiego dnia... Pan Bóg stworzył i *morze krzysztalowe,* przez które niektórzy rozumieją wody, które się znajdują *na powietrzu drugiej Części* i tak z wielą inszemi *interpretes* nauczają. Niektórzy przez to morze krzyształowe rozumieją Wody Niebieskie tej samej istoty, której są Wody na Ziemi, lecz przymiotów inszych, gdyż ani brudu z Ziemi w nich nie masz, ani minerałów, jako są siarczyste, słone etc. *Beda* naznacza przyczynę dla czego ich Pan Bóg zostawił na Niebie, tę: *ażeby gorącość słońca i innych gwiazd uśmierzały. S. Justyn* quaes: 99 dla tego: ażeby *firmament przyciekały jak jakie sklepienie, żeby się nie podnosił do góry, gdyż Nieba są gięte. Oleaster* naznacza tę przyczynę: ażeby podczas potopu gieneralnego zalały Ziemię. *Sybilla Erithraea* dla sądu ostatniego ich potrzebę odkłada; mówiąc: *Undaq; de Coelo fluens ignea sulphure mixto.* Że zaś są Wody *nad Niebem* pokazuje się z Pisma Św. *Dan. 7. Fluvius igneus rapidusque egrediebatur a facie ejus.*"

„Tegoż dnia wtórego stworzony jest firmament, który *nie jest tak twardy, żeby gwiazdy były na nim przybite jak ufnale na kole,* ale jest uformowany z Elementu czystego *powietrza,* a to dla sposobniejszego obrotu tak Gwiazd jako też i inszych planet po tym Firmamencie; gdyby bowiem był Firmament stały jako krzyształ, jednaby była trudność, obracać się Gwiazdom po nim jak rybom pływać po lodzie."

Argument godny filozofa!

Niemniej ciekawe są refleksye nad tem, za co gwiazdy i inne twory niebieskie uważać należy. „O Gwiazdach i Słońcu, mówi X. Pikulski, była wątpliwość u starych Filozofów, *czyli są żyjące,* ponieważ się ustawicznie *ruszają,* i obrót codzienny odprawują. *Plato* i *Origines* nauczali, że żyją; ale tej opinii, ani też przeciwnej żadnego niemasz fundamentu Dla tego św. Augustyn *in Euhyrydion* Cap. 58. tę wątpliwość bez decyzyi zostawił, mówiąc: Utrum sidera *sensum* et *Mentem* habeant, et ad Societatem Beatorum Angelorum pertineant? non est Exploratum. (To znaczy, że nie jest rzeczą zbadaną czy gwiazdy mają zmysły i rozum i czy biorą udział w społeczeństwie aniołów!!). Jednakże (ciągnie dalej ks. P.), według Szkota in 2. dis: 4 quaes: 1. ten dowód, żeby nie były żyjące, bardziej wiarą niżeli racyami naturalnemi może się pokazać. Jaką zaś mocą odprawuje się ruszanie czyli obroty Luminarzów, *dwojakie jest w tem zdanie.* Jedno z Arystotelesem przez *Aniołów,* (?) którzy ich po Niebie noszą. Drugie teraźniejszych matematyków, którzy uczą, że od samych Luminarzów te obroty pochodzą. I nie jest bez fundamentu, jako bowiem Wszechmocność Pana Boga nadała tę naturę ciężkim rzeczom, aby na dół dążyły ku swemu centrum, *ogniowi zaś do góry* (autor uważa jeszcze ogień za element) tak i Luminarzom nadać mogła tę naturę, ażeby każdy z nich przyzwoitym sobie obrotem *okrążał ziemię.* Jeżeli bowiem dowcip ludzki mógł wymyślić takie zegary, w których raz nakręconych rok i drugi regularnie obracają się koła, a czemużby nie mogła i nie miała uczynić wszechmocność Pana Boga i tak sporządzić, ażeby się aż do sądnego dnia obracały Gwiazdy?" (C. d. n.)

BITWA POD IGNACEWEM

I ODWRÓT Z POD KLECZEWA.

(Wyjątek z pamiętników o powstaniu 1863. r.)

(Dokończenie).

Trudno sobie wystawić ile Moskale ponieśli strat w całej tej bitwie, pomimo swych dział i tak znacznej siły w piechocie i jeździe. Zginęło Moskalom 5 oficerów, przeszło 100 żołnierzy, prócz bardzo wielu rannych. Później sami oficerowie moskiewscy i ów znany na Kujawach major Schwartz, opowiadali, że w tej jednej bitwie tylko się przewybornie bili Polacy, co nas (Moskali) kosztowało do 300 ludzi w zabitych i rannych, którzy na pewien czas ubyli z szeregów. Straty z naszej strony stosunkowo pomimo rozprószenia oddziału, były nie tak znaczne. Zginęło nam bowiem około 45 ludzi, a potem jeszcze w najokrótniejszy sposób zamordowano kilkunastu partyzantów w Kleczewie, gdzie się woleli ukryć jak za przykładem innych stanąwszy koło swego dowódcy, z bronią w ręku pomaszerować, broniąc się ścigającemu wrogowi. W całem naszem powstaniu zawsze się to niezmiennie okazywało, że ginęli marnie, głównie ci, co uciekali lub się kryli aby się tylko nie bić z Moskalami. Przeciwnie zaś ci co woleli się bronić, jeżeli tylko dowódca odpowiedział swemu zadaniu, albo wyszli z największych opałów szczęśliwie albo też z małoznaczną stratą. Powinno to być wielką nauką dla przyszłości. — W Kleczewie też chciał się ukryć i dość ciężko ranny dowódca naszej kawaleryi Mierzyński; poczciwi żydzi natychmiast mu opatrzyli ranę i przebrali go za żyda, poczem w bocznym alkierzu usadzili go za stołem nad wielką księgą Talmudu. Byłoby się to przebranie powiodło, ale kiedy piechota moskiewska wpadła do tego miasteczka i poczęła szukać poukrywanych tchórzy, jakaś fatalność popchnęła Mierzyńskiego, że wyszedł na rynek i zaczął się pomiędzy Moskalami przechadzać. Spostrzeżono wtedy krew przeciekającą mu z rany przez ubiór, zatrzymano go i po przyjrzeniu się poznawszy, że to powstaniec przebrany, zamordowano go na miejscu zaraz. Tak zginął ten dzielny dowódca kawaleryi, oficer jeszcze z r. 1831. powszechnie szanowany i znany pod imieniem Kujawskiego dziadusia. Z tej dzielnej garstki 41 wiarusów wykonywających ten zaszczyt ostatniemu powstaniu przynoszący odwrót, którymby się nawet poszczycić mogli i najlepsi żołnierze z r. 1831, szczęśliwym trafem nie tylko nikt zabitym, ale nawet rannym nie został, co wielkie zaufanie do dowódcy obudziło w naszych. Tylko znużenie długą bitwą, potem zaś marszem dało

się czuć tej garstce, jak zwykle to bywa z młodym żołnierzem zanim się zahartuje do wysilających marszów i trudów wojennego życia. Chcąc im przyjść jak można w pomoc, ponieważ już przeszła obawa dalszego ataku Moskali, sparzonych nie źle aż dwa razy, pułkownik Raczkowski spuścił z nóg strzemiona, za które kazał się ująć najbardziej zmęczonym. Spodobało to się zaraz, czepiali się więc jedni drugich, nawet do końskiego ogona któryś się przyczepił, a dobry kasztan zdobyty w dniu poprzedzającym w bitwie pod Ignacewem, prócz dźwigania pułkownika, holował jeszcze z dziesięciu z najbardziej znużonych. Już dobrze po północy gromadka ta z pułkownikiem Raczkowskim przybyła do Ruszkowa, gdzie się poczęły zewsząd ściągać rozbitki tak, że ich jeszcze tej nocy zgromadziło się do 60 ludzi, a oprócz tego uciekinierzy konni, boć tych stu przeszło ludzi niepodobna jest uznać za kawalerye narodową, spotkani w Sleszynie tu również przybyli.

Jakież są dalsze losy tej garstki walecznych co dokonała tak świetnie odwrotu z pod Kleczewa, zapytacie zapewne? Oto tej samej nocy jeszcze pułkownik Callier rozpuścił wszystkich na kwatery, pułkownik zaś Raczkowski jako słaby na nogę wyjechał w Poznańskie. I jakże się mieli u nas żołnierze wyrobić? W jakiż sposób panowie starszyzna sądzili pokonać Moskali? Rozpuszczając ciągle na kwatery, w jakiż więc sposób z partyzanckich oddziałów miała się wytworzyć regularna armia i w siły coraz większe wzrastać? Toć tych 42 ludzi co z pułkownikiem Raczkowskim dokonało tego znakomitego odwrotu wobec tak przeważnych sił nieprzyjaciela, które zrażone wielką stratą poprzednią, a następnie mężnym oporem tej garstki po dwukrotnej szarży pozwoliły jej odejść — byłyby najpiękniejszym zawiązkiem do utworzenia dzielnego oddziału, a następnie batalionu i pułku przynajmniej takiej wartości jak owe sławne czwartaki w r. 1831. Cabrera i Zumalacaregni w czasie wojny hiszpańskiej rozpoczęli kampanią każdy na czele paru tylko ludzi, ale że zamiast rozpuszczania swych żołnierzy na kwatery, bili się ciągle, to w trzy miesiące później każdy z nich stał na czele kilkunastu tysięcy regularnej armii. A jednak w najgorszym już razie pod względem waleczności i sposobności do wojny, nasze wiarusy bynajmniej w niczem nie ustępują Hiszpanom. Gdyby pułkownik Callier w niepojęty sposób niewiedzieć dla czego zamiast rozpuszczania tego oddziału, zajął był się na nowo zorganizowaniem jego, to we 24 godzin mógł był posiadać liczniejszy oddział, jak ten co przyjął udział w bitwie kleczewskiej. Nie tylko bowiem żeby się wszystkie rozbitki pościągały były, a byli to ludzie pomimo swego na końcu rozprószenia się wcale nie do pogardzenia, bo pokazali przez dwa dni poprzednie, że umieją mężnie walczyć, ale jeszcze ponieważ Kleczewska bitwa odbywała się w pobliżu granicy Poznańskiej, więc na odgłos tak licznych strzałów karabinowych i armatnich przez cały dzień słyszeć się dających, wiele ludu z Poznańskiego przybyło, nie mogąc znieść jak mówili aby swoim nie dopomódz. Pułkownik Callier zapewne nie wiedział wcale o przybywających gromadnie Poznańczykach, to prawda, ale znowu wina w tem nie do darowania pułkownika Zielińskiego, który nie dał znać nic o tem, lubo niedaleko bezczynnie cały czas na kwaterze Łuszczewie przebywał, gdzie się przeszło 70 zgromadziło Poznańczyków, prócz tych co także licznie poprzybywali do innych jeszcze wiosek. Inny oficer mający choć ślad zastanowienia się i poczucia swych obowiązków względem kraju, będąc na miejscu pułkownika Zielińskiego, z regularnego wojska moskiewskiego, nie zniósłby wtedy aby bezczynnie siedzieć za piecem we dworze, kiedy go dolatywał odgłos tak długiej walki, a w najgorszym razie byłby choć tych patryotycznych przybyłych włościan zebrał i po uzbrojeniu jak można bez pytania pociągnął z niemi na plac boju, tak jak powinność nakazywała. Ale oficerowie z armii regularnych, co łaskawie poprzybywali do nas, patrząc strasznie z góry na wiarusów co nie byli w regularnem wojsku, bo na ochotnika nie szli służyć Moskalom, nie mieli na tak proste rzeczy ani dosyć rozumu, ani patryotycznego poczucia obowiązków. Pułkownik Zeliński zamiast to co należało dopełnić, wolał psuć zapał przybyłym z Poznańskiego wiarusom, gadając publicznie im, że powstanie na nic się nie zdało, że szkoda tylko zmarnowania ludzi, że niepodobieństwem jest pobicie Moskali. Zapewne, największe wysilenia na cóż się mogły przydać, skoro taka starszyzna im przewodniczyła i skoro nad nią najmniejsza nawet nie ciężyła odpowiedzialność, pomimo że jej dowolności nieograniczonej podlegli byli wszyscy.

Najwinniejszym jednak w kwestyi owych tak fatalnych rozpuszczeń oddziałów jest bez zaprzeczenia rząd narodowy, który niedopełnił tu swych obowiązków względem kraju, który był tak jak powinien woli jego posłusznym. Żadna tu wymówka nie służy R. N. gdyż niepowinien był dozwolić nigdy na tę fatalną zgubę powstania przez rozpuszczanie oddziałów. Może kto powie, że rząd nie miał potrzebnej siły na skarcenie tego bezprawia, my powiemy: fałsze! Należało się przedewszystkiem odwołać do patryotyzmu narodu, starać się bez względu na nie osądzić każdego takiego winowajcę, czego bynajmniej nie zrobiono, ani nawet poczucie miano że to wypadało koniecznie dokonać. Kiedy Padlewski mając kilko tysięczny oddział w Płockiem rozpuścił go, rząd narodowy nie powołał go za to do odpowiedzialności, ponieważ to był właśnie członek komitetu. Przeciwnie tem więcej go należało surowszemu sądowi poddać, że zrobił to co nigdy nie powinien był uczynić. Byłoby to nauczającym przykładem i przestrogą dla innych dowódców, a pokazałoby wszystkim oficerom, że służy się narodowi nie na żarty, ani z łaski, ale z powinności, o której jak najdokładniejsze wypełnienie każdy ma się starać. Wypadało choć dać dymisyę p. Dębińskiemu pełniącemu wtedy w rządzie kierownictwo wydziału wojny, i zastąpić go zdolniejszym patryotą, ponieważ obojętnie przyjął wiadomość o rozpuszczeniu obozu przez Padlewskiego i zamiast zaraz śledztwo i sąd z zabezpieczeniem winowajcy przedsięwziąć, on go jeszcze uniewinniał i nie zrozumiał, że ten postępek stanowczo zabił powstanie. Słyszeliśmy już mówiących, że trzeba niepamiętać tego kroku Padlewskiemu, ponieważ schwytany przez Moskali okrótną śmiercią odpokutował swą winę. Gadanina bez sensu! Nie wiem za co go Moskale rozstrzelali, bo w istocie rozpuściwszy tak liczny oddział oddał on im niesłychaną przysługę, za którą powinni go byli raczej donacją i orderem wynagrodzić. On nam źle zrobił i od rządu naszego powinien być do odpowiedzialności pociągnięty, o czem ani myślano, a co się stało najzgubniejszym przykładem dla innych dowódców.

Proszę teraz powiedzieć czy lud nie ma słuszności w Kongresówce, mówiąc: Myśmy się bili, ale nas starszyzna zdradziła! — Polacy stanowią najdzielniejszy element w Europie do wydania prawie niezwyciężonej armii w krótkim czasie, co nie tak dawno zmarły stary jenerał Henryk von Brandt, ceniony bardzo w armii pruskiej ze swych zdolności, nauki i długiego doświadczenia wojskowego, niejednokrotnie to przyznawał. Od najdawniejszych też czasów cudzoziemcy znający Polskę nie mogą się nachwalić dosyć naszego męstwa. Możnaby tu wiele przytoczyć takich zdań, oceniających należycie naszą militarną wartość. Pozwolimy sobie choć jednego takiego przytoczenia. Pan de Hauteville, Francuz, opisując w połowie XVII wieku swój 25letni pobyt w Polsce, tak powiada: „Nie ulega to żadnej wątpliwości, że Polacy byliby nie zwyciężonymi, gdyby w ich wojsku panowała karność. Są oni tak waleczni, a przytem tak zahartowani, że uważają nawet Niemców jako ludzi rozpieszczonych, nie będących w stanie tak jak oni znosić trudów wojennych i nadzwyczajnych mrozów w zimie. Zdarza się też nieraz widzieć armię polską biwakującą na śniegu przez czas długi. Roku 1663 król Kazimierz wyjechawszy na początku września ze Lwowa, poprowadził swą armię nad granicę moskiewską. Był on przez całą zimę w kampanii i dopiero z wiosną roku następnego powrócił do domu.“ Przy tych pochwałach wytyka jednak i wady naszej organizacyi wojskowej tenże sam autor z wielką trafnością: „Nie ma jednak — mówi on — prawie żadnego porządku i karności w armii polskiej, w tem leży przyczyna nietylko zniszczenia kraju, ale także i tej konieczności, że co rok prawie należy zaciągać nowe wojsko“. A dalej przytacza jako szczególną osobliwość: „Co jeszcze muszę dodać na zakończenie tego rozdziału, to, że jak wojsko polskie zasiędzie do stołu, to choć mu donoszą że nieprzyjaciel się zbliża, ono się jednak ani ruszy aby wsiadać na koń i pójść przeciw niemu“. Widzimy zatem, że prawie od trzech wieków nic się u nas nie zmieniło we względzie militarnym, te same przymioty i te same wady ciągle. Już pominąwszy inne patrzmy tylko na ostatnie powstanie, że zawsze tak samo jak przed trzema wiekami. Oto w początku zimy wychodzą nasi do boju i biwakują na śniegu bez namiotów, butów i ciepłego ubioru, a nikt nawet z Warszawiaków kataru nie dostał. Bezbronni z początku biją się dobrze; porządku nie ma a wina to zawsze starszyzny, co go nie umie zaprowadzić i swoim przykładem poprzeć. Później kiedy broni coraz jest więcej, to rozpoczyna się ucieczka; a któż temu jest winien? — Starszyzna, co rozpuszczaniem obozów, ciągłem unikaniem spotkania, kiedy powstanie tylko zaczepnie, zuchwale ale umiejętnie prowadzone, zwyciężyć może — dawaniem z siebie złego przykładu lekceważeniem obowiązków i nieuleganiem najmniejszej odpowiedzialności, zdemoralizowała żołnierza, zamiast go wyrobić na tak waleczne wojsko, jak były legiony i owe pułki 1831 r. A ileż razy rozbity był oddział, ponieważ dowódcy i oficerowie za długo za stołem we dworze siedzieli, jakby nie wiedząc że powstanie jest źle wybraną chwilą do tuczenia się, że w partyzanckim obozie wszyscy bez wyjątku powinni się żywić ze wspólnego kotła. Są to bagatele, powie ktoś znów, przyznajemy najzupełniej, dodając jednakże że to pod ich ciężarem upadło ostatnie powstanie, a nie pod przewagą moskiewskiego

oręża. Do przyszłości należy unikać popełniania tych samych błędów mazgajskich, a za to tem świetniej rozwinąć te piękne wrodzone w narodzie militarne przymioty, którym najsławniejsze znakomitości wojskowe tego wieku, jak Napoleon I, arcyksiążę Karol i td. i td. oddawały największe pochwały, a którym nawet i sam Bismark po bitwie pod Sadową w sejmie pruskim pomimo woli publicznie hołd złożył. Dawnoż to zresztą od Kadyksu do Moskwy, żołnierze nasi zadziwili świat swą bezprzykładną walecznością. Złe też bynajmniej nie w nich spoczywa, ale w tej tak zwanej intelligencyi, z której łona starszyzna wychodzi, i tutaj to trzeba szukać moralnych przyczyn niepowodzeń naszych i te starać się wyleczyć. Święte poczucie odpowiedzialności, tak nieznane a potrzebne, kiedyż ty już na koniec do nas zawitasz?

Obiedwie tu opisane powyżej bitwy: pod Ignacewem i Kleczewem, jak niemniej ów znakomity garstki naszej odwrót z pod Kleczewa prócz na Kujawach są mało znane w reszcie kraju naszego, gdyż współcześnie nikt ich dokładnych biuletynów nie podał do wiadomości publicznej. Szkoda wielka, opisy bowiem prawdziwych wypadków nakreślone jak najwierniej tak jak były, podnoszą zapał w narodzie, wyrabiają doświadczenie, a przytem dają miarę co by to można z partyzantami naszemi dokonać, gdyby inni u góry byli sterownicy. Żołnierz co brał udział w tych dwóch po sobie idących bitwach, może sumiennie powiedzieć: My biliśmy się dobrze! a słowa jego będą miały tem większą wartość, skoro dodamy: że ci waleczni partyzanci, byli świeżo przed 8 dniami zebrani dopiero i po największej części pierwszy raz ogień bojowy widzieli. I niechże czegoś podobnego jaki inny naród dokaże! Takie wypadki to godziło się zaraz ogłosić, a dałyby się one w wielu jeszcze innych miejscowościach zebrać. Przeciwnie owe fałszywe buletyny fabrykowane do „Czasu", których tyle było a niekiedy nawet o bitwach nie mających zupełnie miejsca, tak jak każde kłamstwo, sprawiły wprost przeciwny spodziewanemu przez niedoświadczonych pod tym względem skutek, bo zabiły powagę Rządu, który się strzedz przedewszystkiem powinien kłamać, a przez to zamiast podnieść zabiły zapał w narodzie, nie dały nikomu ani doświadczenia, ani zachęty do naśladowania.

Nieraz nam na myśl przychodzi, gdyby to tak we Francyi taka bitwa jak pod Ignacewem, lub taki odwrót jak z pod Kleczewa lub też inny podobnego rodzaju wypadek, w które ostatnie powstanie obfitowało, były się wydarzyły, jakby to one już były po całym świecie roztrąbione, jakby je wszędzie znano. Byłyby już po wiele razy opisane, wyrysowane, namalowane, użyte i nadużyte za temat do opowiadań i powieści; u nas nikt się tem nie interesuje, nikogo to nic nie obchodzi. Ztąd to później nie wiedząc nic co się u nas działo, daleko nad mniejszemi cudzoziemskiemi czynami się unosimy, których cała wartość że je rozgłoszono, umiejąc efektownie przedstawić. A i naszym wypadkom na efekcie nie zbywa. Jeden z biorących udział w tym odwrocie tak mi swe wrażenia opowiadał: Kiedy huzary na nas miały szarżować, rzuciłem okiem po naszej gromadce, prześlicznie ona wyglądała. Każdy stał jakby z bronią zrosły oczekując na hasło do boju; po nad nami zaś pysznie górowała na koniu postać pułkownika, któremu się jakoś dziwnie wtedy oczy świeciły. Zapewne że pułkownik Raczkowski, wzrostu wysokiego, krępej budowy ciała, z twarzą tak wyrazistą, musi się dobrze wśród boju konno przedstawiać, ale już to bynajmniej czyniło że dobrze wtedy wyglądał. To podniesienie ducha jak niemniej zadowolnienie że się obowiązków swych dopełnia, ożywiało tak jego postać jak i jego walecznych towarzyszy.

Zygmund Gawarecki.

STUDYA ESTETYCZNE

przez

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO

(*Ciąg dalszy.*)

Patrząc tedy na sufit Sykstyny zdaje ci się, że patrzysz na postacie istniejące gdzieś w otchłaniach. Tam zasiadły bezmierne, arcypiękne, spokojne, a wichr potężny otchłani porusza fałdy ich szat. Gdzie prorocy owi i owe sybile siedzą, przyobleczeni w jaskrawe fałdy szat klasycznych, tam wśród milczenia nieskończonej przestrzeni słychać tylko pewno muzykę sfer, o której prawił niegdyś Platon, i szmer ducha, co dmie kędy wola jego: *flat ubi vult.* Rozmyślają nad czemś co całą ich istotę zajęło. Wielkie te olbrzymy przestrzeni milczą od wieków, pogrążeni w spokojnej myśli, co ich ciała nadziemskie na wskróś przeniknęła. I tu Michał Anioł wywołał owe wrażenie spotęgowanej grozy, które ukochał. Postacie jego same i piękne i możne nad wszelką miarę, zasiadły same przeniknięte grozą przed myślą dla nich zawrotną. Gdyby zeszły z siedziby swej napowietrznej, gdyby stanęły przy nas namacalne jak posągi Fidyasza — albo by nas przestrach przejął, albo czulibyśmy zawsze że tak wielkie, że o nas nie dbają — jak ów Dawid. One by się nie dały z bliska oglądać — nie możemy przy nich obcować z pięknem najwyższem, czuć dech jego i dotknięcie jak niegdyś w Helladzie — nie czujemy owych bezpośrednich uniesień udzielanych niegdyś przez Fidyasza; ale w długiej zadumie ze wzrastającym podziwem, patrzymy na dalekie nieskończone duchy. To nas już cieszy, że są, że istnieją — podobne do nas, widome dla nas, a jednak tak doskonałe i nieznikome, tak nie przemijająco piękne i możne. Patrząc na nie cieszymy się tym tak nowym widokiem, w którym abstrakcye rozumu naszego, piękne w ład ujęte sny wyobraźni widzimy urzeczywistnione. Gdyby siedziały tam w otchłaniach obojętne w piękności swojej, nie budziłyby grozy i wywołałyby tylko poklask radośnego rozumu.

Ale nagi Jonasz nad wielkim ołtarzem przez moc od niego nawet większą obalony, leży na znak prawie rzucony, gdzieś po za sklepieniami i musi mówić. Ciało jego zda się uległo pętom niewidomym, i po ruchu całym widać, że robi nie to co wola. Ktoś stokroć możniejszy od niego wydusił zeń świadectwo — a i Lewiatan ryba, przed którą drży morze, uwisł w powietrzu przy nim — porwany przez moc nieznajomą. Naprzeciw Ezechiel, starzec siwobrody sparł głowę o rękę. On cały w długie fałdy przyodziany, sędziwy, ale zresztą bosko piękny, zagłębił się w księdze, której treść zajęła całą jego duszę. Gdzieindziej Sybila Kumejska, o możnych nagich ramionach, z zawojem na głowie, podobna do starożytnej Hery, siadła wśród wichru i rękę wyciągnęła prorokując. Oko jej zajaśniało, usta jej rozwarły się w natchnieniu, i głosi, rada, ale rzecz taką co ją całą grozą przejęła. Inna, młoda i piękna księgę nad głową rozwarła — prorok jakiś myśląc o tajemnicy owej tak złamany że zgiął się we troje, olbrzymią skroń na olbrzymiej sparł dłoni — znieść nie może myśli — to Jeremiasz. Izajasz o rzymskiej twarzy, pisząc, podniósł pióro, i w bok patrzy, jakby słyszał głos daleki natchnienia — Italska Sybila czuwa przy lampie, którą zapaliły aniołowie, podczas gdy inni księgę rozwartą trzymają; a najstraszliwsza Sybila Perska, pełna muszkułów na nagiem ramieniu, pełna zmarszczek na twarzy, na pół mężczyzna, a na pół kobieta, stara od początku, zwiędła pod mocą myśli objawionej.

Otóż widzisz grozę na obliczu tych jestestw doskonałych, i strach cię bierze powoli gdy myślisz, że owe bogi w strachu, trwoga przenika ci serce, ale trwoga rozkoszna, bo czujesz że tu obecnem jest coś wyższego, niewidomego, nieskończonego, że tu przy tobie nieskończony Bóg; ten ktory jest.

Nad głową proroków i sybil, dalej w otchłani, nagie zwisły Demony, doskonale piękne, o przedziwnych ciałach. Ale one trapione myślą o Bogu, nie mogą jej znieść, kurczą się pod nią i wiją, w nieskończonej dali anielskie dzieci, tytany, stanęły przy gzymsach innych, co się u góry rozwarły tworząc okna, przez które widać świat dalszy jeszcze, i wyższy jeszcze, przestrzenie nieskończone, i tajemnice, o których marzą prorocy i proroczynie.

Gdzieś w otchłaniach, w pierwszem polu, starzec niesiony przez wichr, zaledwo dostrzeżony a jednak wyraźnie piękny, rozwarł dłonie. Z jednej jego strony tedy światło bucha, z drugiej ucieka przez otchłanie coś chaotycznego: obraz ciemności. Gdzie indziej zjawi ci się ów starzec wyraźniej. Do Zeusa podobny ale siwy, bo sędziwy jak wieczność. Leci przez otchłań bez skrzydeł, o własnej sile, zdradzając ruch falowaniem szat. Rękę rzuconą przed się rozwarł, a w dłoni jego jaśnieje słońce. Nie wiesz gdzie on. Nie masz dlań miary w otaczających przedmiotach. On pozornie wiele mniejszy od proroków, ale ramami od nich odłączony, unosi się gdzieś wysoko nad nimi, a powietrzne mroki co siadły przed jego twarzą, świadczą że on daleko. I myślisz: Kto wie. Widzę tam na górze prawdziwe słońce, wielkie jak świat w dłoni nieskończonej istoty, co je bez wysiłku stworzyła ruchem jednym, wszechmocnej, nieskończenie wielkiej, a jednak widomej dla mnie".

Buonarotti wiedział, że wrażenie zmysłowe wielkości, każe mimowoli myśleć i o wielkości duchowej. Wiedział jednak równocześnie, że to działanie będzie tem potężniejszem im mniej namacalną będzie owa wielkość zmysłowa, a wtedy zwłaszcza, gdy się liczbami z łatwością ująć nie da i gdy wyobraźnię tem potężniej podrażni. Malarz nie posiada innych środków nad środki zmysłowe, a one nie mogą wyraźniej przedstawić duchową wszechmoc, jak to uczynił Buonarotti. Gdy patrzysz na niezmiernego olbrzyma, poruszającego się bez cielesnej pomocy członków przez próżną otchłań; gdy widzisz że on stary jak wieczność a piękny jak ideał; i gdy wreszcie widzisz że starczy mu dłoń zamknąć i otworzyć by z nicości ogromne słońce wydobyć i słońce owe w przestrzeń cisnąć, czujesz się tak małym jak pyłek, i czujesz, że ten Bóg tak wielki, że nieskończoność ciebie od niego dzieli,

a pojmiesz dla czego myśl o nim tak zadumą raziła nadludzkie proroki i sybile.

Nie zostawi cię jednak artysta w tym stanie umiejętnie przygotowanego znicestwienia. Onoby nie było chrześciańskiem, a owo malowanie ma wyrazić myśl chrześciaństwa. Obok tedy ujrzysz zaraz przedmiot inny. Ten sam Bóg leci przez przestrzeń, wyraźniejszy tylko w piękności swojej, i nagi prawie. Tylko aniołami napełniony płaszcz leci wraz z nim przez otchłanie. Owi aniołowie, nieskrzydlaci, co się ruszają mocą ducha i idealnej młodej piękności swej, to własności Wszechmocnego, esencye ducha, moce jego widome w piękności swej. Widać, że lot Boga szybszy od błyskawicy. Wyciągnął dłoń, lecąc poprzed nagie góry, na których samotna paproć tylko rośnie. Dotknięciem palca przelotnym jak chwila, obudził ducha i życie; bo oto, zjawił się na górze owej Adam, piękny jak niegdyś Apollo i nagi jak on. Leży, rękę ma wyciągniętą i palec dotyka się jeszcze palca, co twór ów doskonały cudniejszy od słońca z nicości wywołał. Ale tu Bóg i człowiek, wszechmoc i nowo stworzona ozdoba świata jednej wielkości, jak pierwowzór i odzwierciedlenie, widziane jakby z głębi wieków. I człowiek spojrzał na Boga wzrokiem nieskończonej, odwzajemnionej miłości. I ten obraz drugi otchłań zapełnia, i nas wznosi do Boga co zwisł wpierw, tak nieubłaganie, tak zawrotnie wysoko.

Po mężu przyszła niewiasta. Z nią dopiero uzupełnione dzieło stworzenia. Najpierw powstało słońce nieświadome, potem mąż zjawił się na barkach ziemi piękny jak Bóg; ukochał Boga, pojął go i został przezeń ukochany. Teraz Bóg ujrzał, że mężowi źle samotnemu na świecie, i stworzył niewiastę, by pocieszenie i wdzięk niosła do stworzenia. Widzimy tedy Adama śpiącego. Bóg stanął obok niego już poufale stąpając po jednej z nim ziemi, i wyciągnął rękę twórczą. Ewa wychyla się z po za leżącego Adama, na pół klęcząca, na pół powstająca, ze złożonemi do modlitwy rękami, i wzrokiem zwisła na obliczu Boga. I harmonijną linią i uczuciem łączy ta dziwnie śmiało narysowana postać człowieka i Boga. Piękna jak niegdyś Afrodite, jest symbolem niebieskiej zarazem i uświęconej już ziemskiej miłości, modlitwy i małżeństwa.

Te trzy obrazy same jedne wyraźnie po przed widza występują. One w sobie wraz z kolosami samotnemi sklepienia uzupełniają główną myśl Michała Anioła, myśl na wskróś chrześciańską jak tłumy średnich wieków. W tych to obrazach widać doskonałe piękno u Starca-Boga, Męża-Adama, Żony Ewy, i Dzieci-Aniołów. Ni Fidyasz, ni myśliciel Platon, nie byliby się wyparli tych utworów, choć wyszły z ustroju ducha obcego Helladzie; a i technika, i rytm nielicznych linii same już zasługują na największy podziw. W innych polach linie się mącą, postacie drobnieją i stają się niewyraźnemi, i myśl bez komentarza nic nie zrozumie. Komentarz powie ci tylko, że tam widać jak człowiek mimo tak wspaniałych darów Boga upadł; tenże komentarz wskaże ci szare niewyraźne medaliki, w których mają być owi przodkowie Chrystusa, o których prorocy i sybile wieszczą. Wtedy dopiero dowiesz się, że tu odmalowano i resztę filozofii chrześciańskiej: grzech i upadek nie wytłumaczone wobec nadmiaru łask bożych, i przepowiedziane, z łaski czystej pochodzące Odkupienie, przez nowy cud miłości. Ale ty tego wszystkiego nie zobaczysz, bo grzech i upadek malowane nie dość wyraźnie, a krzyża wcale nie widzisz, i nie widzisz żłobu, znaków Odkupienia. (C. d. n.)

BOŻE! JAK TY RZĄDZISZ ŚWIATEM!

Boże! jak ty rządzisz światem!
Nogami staje do góry!
Dzisiaj plebejuszów córy,
Chcą się równać z patrycyatem!
Dziś mieszczka tak sztywnie chodzi,
Jakby pokrewna magnacka;
Jak ja! jak ja! którą rodzi
Z Starogratów Odrapacka!

Naprzykład ta pani Iwo?
Chwalą, że jest ugrzeczniona.
Jakiegoś tam radcy żona!
Naturalnie! wielkie dziwo!
I z czegoż ma być nadęta?
Mimo to, młodzież waryacka
Wciąż jej prawi komplementa.
A nudzi się — Odrapacka!

U ciotki, na imieniny,
Był muzykalny poranek;
Siedziałam pośród mieszczanek,
Przez całe cztery godziny.
Krzywiłam ciągle ustami,
I odjechałam z nienacka.
Musiałam; z urzędnikami
Nie rozmawia Odrapacka!

Ewelina Zadarnoska,
Idzie za mąż, w Bialskie strony;
Pan Bogusz, jej narzeczony,
Do rzeczy; jest tam i wioska,
Wszyscy jej zazdroszczą losów.
Bogusz... to mi brzmi z krzyżacka;
To dobre dla Zadarnosów;
Nie zazdrości Odrapacka!

Od pozaprzeszłej niedzieli,
Chyba już nie pójdę zgoła
Nigdy w życiu do kościoła.
Wchodzę, idę wprost jak strzeli...
Ławka pełna w pierwszym rzędzie!
To obelga świętokradzka!
Wyszłam, nigdy nie usiądzie
Gdzieś tam w środku Odrapacka!

Pan brat, widząc herb z koroną
Na mej wizytowej karcie,
Śmiał się; ja, po takim żarcie,
Padłam jak długa zemdloną!
Śmiać się z herbu „Ośla głowa!“
A to idea cudacka!
Podobnych zniewag, nie chowa
Do kieszeni Odrapacka!

Najbardziej mi serce ściska
Obejście mojej Malwinki;
Robi tak potulne minki,
Jakby mieszczka bez nazwiska.
Co to będzie! kiedyś potem!
Moje wnuki! krew magnacka!
Gotowe zapomnieć o tem,
Że je rodzi Odrapacka.

M. Rodoć.

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY

PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(*Ciąg dalszy*).

ROZDZIAŁ XI.

W którym kapitan Servadac znajduje wyspę zaoszczędzoną przez katastrofę, która jednak jest tylko grobowcem.

Nagłe pochłonięcie znacznej części kolonii algierskiej nie ulegało zatem wątpliwości. Było to nawet więcej aniżeli proste zniknięcie ziemi wgłębi wód. Zdawało się, że wnętrzności kuli ziemskiej, rozwarłszy się, następnie zwarły nad całym obszarem. Bo nawet potężne skały tej prowincyi zapadły się, nie pozostawiwszy śladu — i grunt nowy, utworzony z nieznanej substancyi, zastąpił grunt piasczysty, na którym rozpościerało się morze.

Co do powodu, który wywołał straszliwy kataklizm, to ten ciągle ukrywał się przed badaczami *Dobryny*. Szło o poznanie go teraz, gdy klęski się skończyły.

Po poważnej naradzie zgodzono się na to, że *Dobryna* będzie płynąć dalej w kierunku wschodnim wzdłuż linii, którą zakreślał niegdyś brzeg afrykański na tem morzu, którego teraz nie upatrywano granic. Żegluga odbywała się bez wielkich trudności; należało korzystać z pięknej pogody i pomyślnego wiatru.

Ale w tej podróży nie dostrzeżono żadnego śladu od brzegu rozciągającego się od przylądka Matifou do granic Tunisu, ani morskiego miasta Dellys, zbudowanego anfiteatralnie, ani na horyzoncie łańcucha gór Jurjura, których najwyższe szczyty wznosiły się na trzy tysiące pięćset metrów, ani miasta Bougie, ani stromych pochyłości Gouraga, ani góry Adrar, ani Didiela, ani gór Małej Kabylii ani Tritonu starożytnych, tej grupy siedmiu przylądków, których najwyższy szczyt dochodził do tysiąca stu metrów, ani Collo, starożytnego portu Konstantyny, ani Storu, teraźniejszego portu Philippeville, ani Bone, rozsiadłej nad zatoką, mającą czterdzieści kilometrów otworu. Nie ujrzano nic ani z przylądka Garde, ani z przylądka Rose, ani grzbietów gór Edough, ani piasczystych ław nadbrzeżnych, ani Mafrag, ani Calle, słynnego z przemysłu swych koralników; a gdy po raz setny zapuszczano sondę na dno, nie przyniosła ona ani jednego nawet okazu owych ślicznych zoofitów morza Śródziemnego.

Natenczas hrabia postanowił żeglować dalej ku wybrzeżu tunetańskiemu aż do przylądka Blanc, to jest do najbardziej wysuniętego na północ punktu Afryki; czy też w tem miejscu morze, ściśnięte między stałym lądem afrykańskim a Sycylią, nie przedstawi jakiej szczególności, którą wypadnie zanotować.

Dobryna zatem trzymała się w kierunku trzydziestego siódmego stopnia szerokości i dnia 7 lutego przepłynęła siódmy stopień. Długości.

Oto są powody, które skłoniły hrabiego, w porozumieniu z kapitanem Servadac i porucznikiem Prokopem, prowadzić w dalszym ciągu badania na wschodzie.

W owej epoce — i chociaż przez długi czas nie brano się do tego przedsięwzięcia — nowe morze Saharskie, zostało otworzone, dzięki za-

biegom Francyi. Wielkie to dzieło, prosta restytucya, zrobiona owej obszernej kotlinie Tritonu, gdzie rzucone były okręta Argonautów, bardzo korzystnie zmieniło miejscowe warunki klimatyczne i zmonopolizowało na korzyść Francyi cały handel między Sudanem a Europą.

Jaki wpływ wywarło na nowy stan rzeczy owo zmartwychwstanie tego starożytnego morza? To było do zbadania.

Teraz na wysokości zatoki Gabes, pod trzydziestym czwartym stopniem szerokości, szeroki kanał dawał dostęp wodom morza Śródziemnego do przestronnej wnętrznej kotliny, zajętej przez Kebir, Gharsa i t. d. Ciaśnina istniejąca o dwadzieścia sześć kilometrów na północ od Gabes, w tem samem miejscu gdzie niegdyś zatoka Triton łączyła się z morzem, została przecięta i wody powróciły do dawnego swego łożyska, z którego w braku ciągłego zasiłku, wyparowały niegdyś pod promieniami słońca libijskiego.

Więc czy właśnie nie wtem miejscu, gdzie zrobiono owe przecięcie, kula ziemska nagle nie pękła, co następnie spowodowało zniknięcie znacznej części Afryki? Spuściwszy się po za trzydziesty czwarty stopień, być może iż *Dobryna* odszuka brzegi Tripolis, które w takim razie stanowczo postawiłyby zaporę szerzeniu się klęski?

— Jeżeli przybywszy do tego punktu,—powiedział bardzo słusznie porucznik Prokop, —jeszcze ujrzymy morze, rozpościerające się w nieskończoność ku południowi, to nie pozostanie nam jak tylko szukać na brzegach europejskich rozwiązania zadania, nierozwiązalnego w tych okolicach.

Więc *Dobryna*, nie oszczędzając paliwa, płynęła całą siłą pary dalej ku przylądkowi Blanc, nie odszukawszy ani przylądka Negro, ani przylądka Serrat. Przybywszy na wysokość Bizerte, ślicznego miasta, całkiem wschodniego, nie dostrzegła ani jeziora, które rozpościerało się po za niem, ani grobowców ocienionych pysznemi palmami. Sonda, zapuszczana w tych przejrzystych wodach, znalazła tylko niezmienne dno płaskie i jałowe, dźwigające fale morza Śródziemnego.

Przylądek Blanc, albo, mówiąc dokładniej, miejsce, które ten przylądek zajmował przed pięcią tygodniami, opłynięte zostało w dniu 7 lutego. Natenczas galiota pruła swą piersią wody, które powinny były być wodami zatoki tunetańskiej. Ale z cudnej tej zatoki nie pozostało ani śladu, ani miasto zbudowane w formie amfiteatru, ani warownia arsenału, ani Goulette, ani dwa szczyty Bou-Kcurnein. Przylądek Bon, który tworzył niegdyś najbardziej wysunięty punkt Afryki od strony Sycylii, również został uniesiony wraz z lądem we wnętrzności kuli ziemskiej.

Niegdyś, przed tylu dziwnemi wydarzeniami, grunt morza Śródziemnego stromo podnosił się w tem miejscu i tworzył tak zwany ośli grzbiet. Budowa ziemna sterczała w kształcie grzbietu, oddzielając ciaśninę libijską, na której było wody nie więcej nad siedmnaście metrów. Po każdej stronie grzbietu, przeciwnie, głębokość wynosiła sto siedmdziesiąt metrów, A nawet prawdopodobnie w epokach formacyj geologicznych, przylądek Bon był połączony z przylądkiem Furina na konczynie Sycylii, jak niewątpliwie połączona była Ceuta z Gibraltarem.

Porucznik Prokop, jako marynarz doskonale znający morze Śródziemne we wszystkich szczegółach, nie mógł nie wiedzieć o tej właściwości. Nadarzała się więc sposobność sprawdzenia czy też dno teraz zmieniło się między Afryką a Sycylią, czyli podwodny grzbiet ciaśniny libijskiej istnieje jeszcze.

Hrabia, kapitan Servadac i porucznik, wszyscy trzej byli obecni przy sondowaniu.

Na dany rozkaz majtek śpuścił ołowiankę.

— Ile węzłów? — zapytał porucznik Prokop.

— Pięć *) — odrzekł majtek.

— A dno?

— Równe.

Teraz trzeba było rozpoznać jaka donośność ciśnienia jest po obu stronach grzbietu podwodnego. Więc *Dobryna* kolejno zwracała się o pół mili na prawo i na lewo i dokonano pomiaru po obu stronach.

Pięć węzłów ciągle i wszędzie! Dno niezmiennie równe! Łańcuch gór, zatopiony przedtem między przylądkami Bon i Furina, nie istniał. Widocznem było, że katalizm spowodował ogólne zniwelowanie dna Śródziemnego morza. Co do natury tego dna — ten tam proch metaliczny nieznanego składu. Żadnych gąbek, aktynii, hydrofitów skorupiaków, któremi niegdyś zasiane były skały podwodne.

Dobryna skręciwszy, pożeglowała na południe, w dalszym ciągu robiąc poszukiwania.

Pomiędzy szczególnościami tej żeglugi należy także zanotować, że morze ciągle było puste. Nie sygnalizowano na widnokręgu żadnego statku, ku któremu mogłaby przybliżyć się galiota i zasięgnąć wiadomości z Europy. Zdawało się, że jedna tylko *Dobryna* pływa po tych opuszczonych wodach i każden czując jak dokoła niego tworzy się osamotnienie, zapytywał sam siebie, czy też galiota nie jest teraz jedynym zamieszkałym punktem na kuli ziemskiej, nową arką Noego, zawierającą jedyne istoty, które przeżyły katastrofę, jedyne żyjące na ziemi!

Dnia 9 lutego *Dobryna* płynęła właśnie ponad miastem Dydony, starożytną Bryssą, teraz gorzej zburzoną aniżeli Kartagina punicka była kiedykolwiek przez Scypiona Emiliana, aniżeli Kartagina rzymska przez Hassana Gassanida.

Tego wieczora, w chwili gdy słońce znikało pod wschodnim horyzontem, kapitan Servadac, wsparty na przyczółku galioty stał pogrążony w myślach. Wzrok jego błąkał się nieokreślenie to po niebie, na którem błyszczało kilka gwiazd pomiędzy ruchomą mgłą, to po morzu, którego wydłużone fale zaczynały opadać wraz z wiatrem.

Wtem, podczas gdy był zwrócony ku horyzontowi południowemu, oko jego uczuło pewien rodzaj świetlanego wrażenia. Zrazu sądził, że jestto optyczne złudzenie i począł wpatrywać się z większą uwagą.

Natenczas w samej rzeczy ukazało mu się odległe światło, a majtek, którego przywołał, dostrzegł je wyraźnie.

Natychmiast hrabia i porucznik Prokop zawiadomieni zastali o tem wydarzeniu.

— Czy to ziemia?... — zapytał kapitan Servadac.

— Czy nie są to raczej ognie na jakim statku? — odrzekł hrabia.

— Nim upłynie godzina dowiemy się o tem! — zawołał kapitan Servadac.

— Nie dowiemy się, kapitanie, wcześniej jak jutro — odpowiedział porucznik Prokop.

— Więc nie zwracasz statku ku temu ogniowi? — zapytał hrabia zdziwiony.

— Nie, ojcze. Chcę pozostać pod małemi żaglami i czekać dnia. Może tam istnieje jakie wybrzeże. Obawiam się awanturować się podczas nocy ku lądom nieznanym.

Hrabia skinął potakująco i *Dobryna* ułożywszy żagle tak by nie wiele robić drogi, skryła się w nocnych ciemnościach.

Noc, trwająca sześć godzin, nie jest długą; ale ta noc, zdawało się, że trwa cały wiek; kapitan Servadac, który nie opuścił pokładu, co chwila obawiał się, że słabe światło zgaśnie. Ale błyszczało ciągle w ciemnościach, jak słaby ogień w wielkiej odległości.

— I ciągle na jednem miejscu! — zauważył porucznik Prokop.—Można więc wnioskować z tego z wielkiem prawdopodobieństwem, że mamy przed sobą ziemię, a nie statek.

Ze wschodem słońca wszystkie lunety na pokładzie skierowane zostały na punkt, który w nocy wydawał się świetlanym. Światło znikło wkrótce pod promieniami słońca; ale na jego miejscu ukazał się o sześć mil od *Dobryny* pewien rodzaj skały, szczególnie zarysowanej. Rzekłbyś, że to samotna wysepka wśród tego niezmiernego morza.

— To tylko skała — rzekł hrabia — albo raczej szczyt jakiejś pochłoniętej góry!

Jednak w każdym razie, wypadło poznać tę skałę, gdyż była niebezpieczną i statek powinien był mieć się na ostrożności. Zwrócono więc przód ku sygnalizowanej wysepce, a we trzy kwandranse *Dobryna* znalazła się tuż niedaleko od niej.

Wysepka ta była rodzajem stromego i nagiego wzgórza, wznoszącego się o jakie czterdzieści stóp nad powierzchnią morza. Żadne podwodne skały nie broniły tam przystępu, co kazało przypuszczać, że pogrążała się zwolna, pod wpływem niewyjaśnionego fenomenu, aż póki jakiś punkt oparcia nie zatrzymał jej stanowczo na tej wysokości ponad falami.

— Ależ tu jest jakieś pomieszkanie, na tej wyspie! — zawołał kapitan Servadac, który z lunetą przed oczyma ciągle rozglądał najmniejsze zagłębienia — może jest kto żyjący..."

Na to przypuszczenie kapitana, porucznik Prokop odpowiedział bardzo znaczącem potrząśnięciem głową. Wysepka wydawała się zupełnie pustą i wystrzał działowy z galioty nie sprowadził na brzeg jej żadnego mieszkańca.

Prawdą jednak było, iż jakiś budynek kamienny wznosił się na wyżnej części wyspy. Ogółem swym przedstawiał on pewne podobieństwo do arabskiego grobowca.

Natychmiast spuszczono łódź *Dobryny* na morze. Kapitan Servadac, hrabia i porucznik Prokop zajęli w niej miejsce, a czterech majtków szybko powiosłowało.

W kilka chwil potem żeglarze wysiadali na ląd i nie tracąc czasu poszli w górę po stromej pochyłości wysepki, prosto ku grobowcowi.

Tam zatrzymał ich naprzód mur obwodowy z antycznemi odciskami waz, kolumn, posągów, rozłożonych bez żadnego porządku i bez najmniejszego pojęcia o sztuce.

Hrabia i dwaj jego towarzysze, obszedłszy ten mur obwodowy, znaleźli się przed wązkiemi drzwiami, otwartemi naroścież, przez które weszli bezwłocznie.

Drugie drzwi, również otwarte, pozwoliły im wejść do środka grobowca. Ściany jego były rzeźbione na sposób arabski, ale te upiększenia nie miały żadnej wartości.

W środku, wznosił się właściwy grobowiec wielkiej prostoty. Nad nim wisiała ogromna sre-

*) Dwadzieścia pięć stóp.

brna lampa, w której jeszcze zawierał się wielki zapas oliwy, a w niej pogrążony gruby zapalony knot.

Tej to lampy światło zwróciło w nocy uwagę kapitana Servadac.

Grobowiec nie był zamieszkały. Jego dozorca — jeżeli miał kiedy dozorcę — zginął bezwątpienia w chwili katastrofy. Od owego czasu schroniło się tam kilka kormoranów; ptaki te odleciały na południe, gdy przybyli weszli.

Na rogu grobowca leżała książka do nabożeństwa. Książka ta, w języku francuskim, rozłożona była w miejscu specyalnych modlitw na dzień 25 sierpnia.

Nagle rozjaśniło się w umyśle kapitana Servadac. Punkt morza Śródziemnego w którym znajdowała się ta wysepka, ten grobowiec, teraz osamotniony wśród morza, stronnica, na której książka była otwarta, wszystko to wyjaśniło mu w jakiem miejcu znajdował się z towarzyszami.

— Grobowiec świętego Ludwika, panowie! — powiedział.

Tam w samej rzeczy umarł król francuski. Tam od dwóch przeszło wieków ręce francuskie otaczają jego grobowiec czcią pobożną.

Kapitan Servadac uchylił się przed grobowcem, a dwaj towarzysze naśladowali go z uszanowaniem.

Ta lampa, gorejąca na grobowcu świętego, była może jedyną latarnią morską, oświecającą teraz wody morza Śródziemnego i ta jednak miała zgasnąć!

Następnie trzej wędrowcy opuścili grobowiec i dziką skałę. Łódka odwiozła ich do okrętu i *Dobryna*, zwróciwszy ku południowi, rychło straciła z oczu grób króla Ludwika IX, jedyny punkt wybrzeża tunetańskiego zaoszczędzony przez katastrofę.

ROZDZIAŁ XII

W którym postępując zrazu po marynarsku, w końcu porucznik Prokop spuszcza się na wolę boską.

Wystraszone kormorany, odlatując z grobowca, zwróciły lot swój ku południowi. Może kierunek ten wskazywał, iż istnieje w tamtej stronie jaka niedaleka ziemia. Tej nadziei po chwycili się żeglarze na *Dobryni*.

W kilka godzin po opuszczeniu wysepki, galiota żeglowała po nowych wodach, których płytki pokład okrywał teraz półwysep Dekhul, niegdyś oddzielający zatokę tunetańską od zatoki Hamamut.

We dwa dni potem, naprózno wyszukując brzegów tunetańskiego Sahel, dopłynęła do trzydziestego czwartego stopnia, który w tem miejscu powinien był przecinać zatokę Gabes.

Nie pozostało ani śladu wału, do którego przed sześcią tygodniami dotykał kanał morza Saharskiego, a płynna przestrzeń rozpościerała się jak okiem zajrzeć na wschód.

Nakoniec dnia 11 lutego rozległ się na galiocie okrzyk! „ziemia!“ i ukazał się brzeg, tam gdzie według jeografii nie można było przypuszczać, że się go znajdzie.

Bo w samej rzeczy, nie mogło to być wybrzeże Tripolis, które w ogóle jest niskie, piaszczyste, trudne do dojrzenia w wielkiej odległości. Oprócz tego wybrzeże to powinno było znajdować się o dwa stopnie dalej na południu.

Owoż nowa ziemia, bardzo nierówna, rozciągała się szeroko ze wschodu za zachód i zamykała cały horyzont południowy. Na lewo rozcinała na dwoje zatokę Gabes i nie dozwalała widzieć wyspy Diarba, tworzącej punkt skrajny.

Ziemia ta została starannie przerysowana na mapach okrętowych i można było wnioskować z niej, że morze Saharskie zostało w części zapełnione ukazaniem się nowego kontynentu.

— A więc. —zauważył kapitan Servadac,— prując dotąd morze Śródziemne tam gdzie niegdyś był kontynent, teraz oto spotykamy kontynent tam gdzie było Śródziemne morze?

— A w miejscach tych, — dodał porucznik Prokop, — nie ukazuje się ani żaden statek maltański, ani lewantyński, które zwykle je zwiedzały.

— Teraz —rzekł hrabia,— chodzi o zdecydowanie się, czy brzegiem tym popłyniemy na wschód, czy na zachód.

— Na zachód, jeżeli pan pozwolisz, — odrzekł żywo oficer francuski. O ile wiem, po za Chelifem nie pozostało nic z naszej algierskiej kolonii! Przepływając moglibyśmy zabrać mego towarzysza, którego pozostawiłem na wyspie Gurbi i dotrzeć aż do Gibralturu, gdzie być może dowiemy się czego o Europie!

— Kapitanie Servadac, — odrzekł hrabia zwykłym sobie poważnym tonem,—galiota jest na jego usługi. Prokopie! wydaj stosowne rozkazy.

— Ojcze, mam ci zrobić jedną uwagę — rzekł porucznik, pomyślawszy chwil kilka.

— Mów.

— Wiatr dmie od wschodu i wzmaga się— powiedział Prokop.—Samą parą niewątpliwie przemożemy go, ale nie bez wielkich trudności. Przeciwnie, płynąc ku wschodowi, przy pomocy maszyny i żagłów, galiota za kilka dni dosięgnie do wybrzeży egipskich, a tam, w Aleksandryi, lub jakim innym punkcie, zapewne znajdziemy wyjaśnienia, których mógłby nam dostarczyć Gibraltar.

— Słyszy pan, kapitanie? — rzekł hrabia, zwracając się do Hektora Servadac.

Ten, chociaż bardzo pragnął przybliżyć się do prowincyi Oranu i znowu zobaczyć Ben-Zufa, znalazł jednak uwagę porucznika bardzo słuszną. Wiatr zachodni wzmagał się i walcząc z nim *Dobryna* nie była w stanie szybko płynąć, podczas gdy mając wiatr z tyłu prędko mogła znaleźć się u brzegów Egiptu.

Zwrócono więc na wschód. Wiatr zagrażał wielkiem wzmożeniem się. Na szczęście długie wały ciągnęły się w tym samym kierunku co galiota i nie odbijały się.

Od piętnastu dni można było przekonać się, że temperatura, która szczególnie zniżyła się, wykazywała średnio nie więcej nad piętnaście do dwudziestu stopni ponad zero termometryczne. To zniżanie się postępowe, było wynikiem całkiem naturalnej przyczyny, tojest wzrastającego oddalania się kuli ziemskiej po nowej jej linii. Pod tym względem nie mogło być żadnej wątpliwości. Ziemia, przybliżywszy się do swego punktu atrakcyjnego, przekroczyła orbitę Wenery, stopniowo oddalała się i była wtedy więcej odległą od niej aniżeli kiedykolwiek przedtem. Zdawało się, że 1go lutego powróciła na odległość trzydziestu ośmiu milionów mil od słońca, tak jak była 1go stycznia, i że od tego czasu oddalenie jej wzrosło prawie o trzecią część. Wypływało to nietylko ze zniżenia się temperatury, ale i z widoku kręgu słonecznego, który poruszał się po łuku widocznie zmniejszonym. Patrząc się z Marsa przedstawiałaby ona tą samą redukcyę diametralną oku spostrzegacza. Można więc było ztąd wnioskować, że ziemia wchodziła w orbitę tego planety, którego ustrój fizyczny jest prawie takiż sam jak jej. Skąd ten wynik, że nowa droga, którą przeznaczono jej było przebiegać w świecie słonecznym, tworzyła elipsę bardzo wydłużoną.

Jednak te kosmiczne fenomena nie zajmowały wówczas podróżników *Dobryny*. Nie niepokoili się już oni temi nieporządnemi ruchami kuli ziemskiej w przestrzeni, a tylko modyfiacyami, jakie zaszły na jej powierzchni, a których donośność nieznaną im była jeszcze.

Więc galiota płynęła w odległości dwóch mil od nowej linii brzegu; a poprawdzie każden okręt zginąłby niechybnie, gdyby nie zdołał utrzymać się zdala od tego brzegu.

Całe wybrzeże nowego kontynentu nie przedstawiało ani jednego punktu schronienia. Podnóże jego, o które gwałtownie rozbijały się wały, było całkiem strome i wznosiło się na wysokość dwóchset do trzystu stóp. Podstawa ta, gładka jak ściana, nie przedstawiała zagłębienia w któremby mogła choć jedna noga znaleść punkt oparcia. Na wierzchu zarysował się las strzał, obelisków piramid. Rzekłbyś, że jestto ogromna krystalizacya wznosząca się na tysiąc stóp wysokości.

Ale nie to jedno stanowiło dziwaczność tej masy olbrzymiej. Szczególniej dziwiło podróżników *Dobryni* to że wszystko wydawało się „zupełnie nowem;“ jak gdyby działalność atmosfery nie zatarła jeszcze szybkości linij ani barwy substancyi. Odbijały one na niebie z niezrównaną dokładnością rysunku. Wszystkie głazy, tworzące ją, były gładkie i połyskujące, jak gdyby tylko co wyszły z formy. Połysk ich metaliczny, jakby złotem przerobiony, przypominał piryty. Zachodziło pytanie czy temże sam jedyny kruszec, podobny do tego, którego proch przyniosła sonda z dna morskiego tworzył te masy, które siły plutoniczne wyrzuciły na powierzchnię wód.

Inne jeszcze spostrzeżenie popierało to pierwsze. Zwykle, na jakiejbądź części kuli ziemskiej najdziksze masy skaliste są pokryte wilgotną pleśnią, którą zgęszczająca się para wytwarza na ich powierzchni, a która zsuwa się w kierunku pochyłości Oprócz tego niemasz wybrzeża tak dzikiego, by nie istniały na niem jakieś rośliny skalne i nie tuliły się jakieś krzaczki niewiele wymagające. A tu nic, ani najmniejszej żyłki kryształowej, ani najskromniejszej zieloności. To też żaden ptak nie rozweselał tego dzikiego lądu. Nic tam nie żyło, nic się nie ruszało, ani w królestwie roślinnem, ani w zwierzęcem.

Załoga zatem *Dobryny* nie miała czemu dziwić się, jeżeli morskie ptaki, albatrasy, mewy, nurki i tym podobne, tak samo jak skalne gołębie, szukały przytułku na galiocie. Żadne strzały nie mogły spędzić tego ptactwa, które we dnie i w nocy zalegało na rejach. Skoro tylko wyrzucono na pokład jakie szczątki żywności, wszystko to spadało na nie, bijąc się i żarłocznie zajadając. Widząc je tak wygłodzone, możnaby sądzić, że nie masz ani jednego punktu w tych stronach, gdzieby mogło znaleść jakiekolwiek pożywienie. W każdym razie nie na tym brzegu, ponieważ ten widocznie wydawał się pozbawionym roślinności i wody.

Takiem było to szczególne wybrzeże, wzdłuż którego przez wiele dni płynęła *Dobryna*. Czasami profil jego zmieniał się, a wtedy na długości wielu kilometrów przedstawiał jedno tylko załamanie ostre i gładkie, jak gdyby starannie wyheblowane. Potem znowu pojawiały się wielkie ostrosłupy na

nieprzejrzanej przestrzeni. Ale nigdy u stóp skał nie ukazywała się ani ława piasczysta, ani wybrzeże żwirem pokryte, ani zbiór owych skał, któremi zwykle są zasiane niezbyt głębokie wody. Zaledwie tu i owdzie roztwierały się wąskie zatoki. Nie było widać ani jednego zagłębienia, w którem statek mógłby zaopatrzeć się w wodę.

Opływając ten brzeg na długości około czterechset kilometrów *Dobryna*, zatrzymaną nakoniec została nagłem załamaniem się jego. Porucznik Prokop, który co godzina wykreślał na mapie ten nowy kontynent, przekonał się wówczas, że brzeg ten ciągnie się teraz od południa ku północy. Więc Śródziemne morze było z tej strony zamknięte, prawie pod dwunastym stopniem długości! Czy zapora ta rozciągała się aż do Włoch i Sycylii? Wkrótce będzie można dowiedzieć się o tem; a jeżeli tak będzie, to wielka kotlina, której wody omywają Europę, Azyę i Afrykę, znajdzie się zmniejszoną o połowę.

Galiota, ciągle badając wszystkie punkta tego nowego wybrzeża, zwróciła się ku północy, prosto ku ziemiom europejskim. Upłynąwszy w tym kierunku kilkaset kilometrów, powinna była spotkać Maltę, jeżeli w każdym razie stara wyspa, którą kolejno posiadali Fenicyanie, Kartagińczycy, Sycylijczycy, Rzymianie, Wandale, Grecy, Arabi i kawalerowie maltańscy, uszanowaną została przez katastrofę.

Ale nic tego nie było i dnia 14. lutego sonda, zapuszczona w miejscu gdzie była Malta, wyniosła z dna tylko tenże muł metaliczny, nieznanej natury.

— Spustoszenie rozpostarło się dalej, po za granice lądu afrykańskiego — zauważył hrabia.

— Tak jest — odrzekł porucznik Prokop — i nie możemy nawet określić granic tej straszliwej klęski! Teraz, ojcze, powiedz jakie są twe zamiary? ku jakiej części Europy *Dobryna* ma się zwrócić?

— Ku Sycylii, ku Włochom, ku Francyi — zawołał kapitan Servadac — tam przecież będziemy mogli dowiedzieć się...

— Czy *Dobryna* nie mieści na swym pokładzie jedynych ludzi, którzy przeżyli katastrofę! — dodał z powagą hrabia.

Kapitan Servadac nie wyrzekł na to ani słowa, ponieważ smutne jego przeczucia zgadzały się z przeczuciami hrabiego. Jednak zmieniono kierunek i galiota wyminęła punkt, w którym przecinały się stopnie długości i szerokości znikłej wyspy.

Wybrzeże ciągle zarysowywało się od południa ku północy i nie dozwalało dotrzeć do zatoki Sydar, Wielkiego Syrtu starożytnych, ciągnącego się dawniej aż do egipskiego lądu. Tak było ciągle; nie istniał zatem dostęp do wybrzeży Grecyi i portów cesarstwa ottomańskiego. Niepodobna zatem było płynąć przez Archipelag, Dardanele, morze Marmara, Bosfor, morze Czarne, słowem ku południowym brzegom Rosyi.

Galiota, choćby nawet projekt ten przeszedł w wykonanie, jedną tylko drogą mogła żeglować, a mianowicie wschodnią, ażeby dotrzeć do północnych części morza Śródziemnego.

Próbowała tego w dniu 10 lutego. Ale jak gdyby żywioły zmówiły się walczyć przeciw niej, wiatr i fale połączyły swe siły by drogę jej tamować. Powstała szalona burza, podczas której bardzo było trudno utrzymać się na morzu statkowi, mającemu tylko dwieście beczek objemu. Niebezpieczeństwo było nawet bardzo groźne, gdyż wiatr dął z boku.

Porucznik Prokop był nadzwyczaj zaniepokojony. Musiał zwinąć wszystkie żagle, pospuszczać wszystkie maszty; ale wtedy za pomocą siły samej tylko maszyny nie wiele mógł upłynąć wobec burzy. Ogromne wały podnosiły galiotę na sto prawie stóp w powietrze i na tyleż pogrążały w otchłań, otwierającą się pod statkiem. Koło obrotowe, najczęściej w powietrzu wirujące, nie dotykając płynnych pokładów, traciło całą swoją potęgę. Pomimo, że naprężenie pary doprowadzone było do maksimum, *Dobryna* cofała się przed huraganem.

W jakim porcie mogli znaleść schronienie? Niedostępny brzeg nie przedstawiał żadnego! Czyżby porucznik Prokop znalazł się doprowadzonym do tej ostateczności, by puścić się na wolę wichru? Sam on zapytywał o to siebie. Ale w takim razie coby się stało z rozbitkami, gdyby nawet dostali się na ten brzeg dziki? Na jakie środki mogli liczyć na ziemi rozpaczliwie bezpłodnej? Po wyczerpaniu zapasów, jakby zdołali odnowić je? Czy można było spodziewać się po za tem niedostępnym murem jakiejkolwiek zaoszczędzonej części dawniejszego lądu.

Dobryna próbowała trzymać się naprzeciw burzy; załoga jej, odważna i przywiązana, manewrowała z największą zimną krwią. Żaden z tych majtków, zaufanych w swym przywódcy i pewnych swego statku, ani na chwilę nie upadł na duchu. Ale maszyna była tak sforsowana, iż czasami zagrażała rozpryśnięciem się. A przytem galiota nie była już powolną swemu kołu obrotowemu i nie mogąc używać żagli, gdyż najmniejszy z nich rozszarpałby huragan, gnana była ku brzegowi.

Cała załoga znajdowała się na pokładzie, pojmując rozpaczliwe położenie, spowodowane burzą. Ziemia znajdowała się wtedy wszystkiego o cztery mile pod wiatrem i *Dobryna* pędziła ku niej z szybkością nie pozostawiającą żadnej nadziei uniknięcia jej.

— Ojcze — rzekł porucznik Prokop do hrabiego, — siła ludzka ma swe granice. Nie mogę oprzeć się temu wichrowi, który nas unosi.

— Czy zrobiłeś wszystko co marynarz może zrobić? — zapytał hrabia, którego twarz nie zdradzała żadnego wzruszenia.

— Wszystko — odrzekł porucznik Prokop — ale nim upłynie godzina galiota, będzie wyrzucona na brzeg.

— Nim upłynie godzina — rzekł hrabia — tak by mógł być słyszanym przez wszystkich, Bóg może nas uratować!

— Nie uratuje, chyba ten ląd roztworzy, by przepuścić *Dobrynę*.

— Wszyscy jesteśmy w ręku Tego, który może wszystko! — odrzekł hrabia zdejmując czapkę.

Hektor Servadac, porucznik i majtkowie, nie przerywając milczenia, naśladowali go pobożnie.

Prokop, poczytując oddalenie się od ziemi za niemożebność, przedsięwziął natenczas wszelkie środki, ażeby statek rozbił się w najmniej złych warunkach. Pomyślał i o tem, by rozbitki, jeżeli który z nich ocaleje na tem rozhukanem morzu, nie pozostali bez zasobów w pierwszych dniach ulokowania się na nowym lądzie. Kazał więc wynieść na pokład skrzynie z żywnością i beczki wody do picia, które powiązane z beczkami próżnemi mogły utrzymać się na powierzchni po rozbiciu się statku. Słowem zrobił wszystko, co należało do marynarza.

W samej rzeczy, nie było żadnej nadziei uratowania galioty! Ogromna ściana nie przedstawiała żadnego zagłębienia, żadnej zatoki, w którychby statek w razie niebezpieczeństwa mógł się schronić. *Dobryna* mogła być uratowaną tylko przez nagłą zmianę wiatru, któryby odrzucił ją na morze, albo, jak powiedział Prokop, gdyby Bóg roztworzył cudem ten brzeg i utorował jej przejście.

Ale wiatr nie zmieniał się. I nie miał się zmienić.

Wkrótce galiota znajdowała się wszystkiego o milę od brzegu. Widziano olbrzymią skałę zwiększającą się stopniowo, a wskutek optycznego złudzenia zdawało się, że to ona rzuca się na galiotę, by ją zgruchotać. Po kilku chwilach *Dobryna* już była w odległości tylko trzech metrów. Każden na pokładzie sądził, że wybiła jego ostatnia godzina.

— Żegnaj hrabio — rzekł kapitan Servadac, podając rękę swemu towarzyszowi.

— Z Bogiem, kapitanie — odrzekł hrabia wskazując na niebo.

W tej chwili *Dobryna*, wzniesiona do góry na potwornym wale, spadała na skałę mającą ją zdruzgotać.

Nagle ozwał się głos:

— Hej! chłopcy! żwawo! Rozwiń wielki żagiel! rozwiń mały! prosto!

To Prokop, stojąc na przodzie statku wydawał rozkazy. Pomimo, że nie były wcale oczekiwane, załoga szybko je spełniła, a tymczasem porucznik, pobiegłszy na tył galioty, sam pochwycił za ster.

Czego chciał porucznik Prokop? Zapewne obrócić goliotę całym przodem na skałę.

— Uwaga! — krzyknął znowu — pilnuj się!

W tej chwili krzyk wyrwał się z piersi wszystkich, ale nie był to krzyk trwogi.

Wycięcie w skałach, szerokie najwięcej na czterdzieści stóp, ukazało się między dwiema prostopadłemi ścianami. Było to schronienie, jeżeli nie przejście. I *Dobryna*, kierowana ręką porucznika Prokopa, gnana wiatrem i falami, rzuciła się tam!... Być może, iż nigdy już nie wydobędzie się!... (C. d. n.)

PLOTKI I NIE-PLOTKI

WARSZAWSKIE.

II.

(Dokończenie).

Wracam do osad. Członek komitetu, pan Moldenhawer, odczytał projekt bardzo dobrze zredagowany: urządzania przez towarzystwo w całym kraju, podobnych co w Studzieńcu przytułków, dla opuszczonych dzieci. Jeżeli się mówi o całym kraju dla czegóżbyście i wy w Galilei o podobnych zakładach nie pomyśleli, jako o oazach cywilizacyi. I choć raz sami coś poważnego zrobili. Macie prawie wolność nauczania, wolność organizacyi, i wolność składek, czegóż wam więcej jeszcze potrzeba? Ja wam powiem, potrzeba wam więcej miłości, więcej wytrwałości i pracy.

Krzyczycie na reakcyonistów i macie racyą, lecz ich nie uciszycie niczem jak tylko pracą i własną organizacyą w pracach społecznych, wierzajcie mi.

Na owo urządzenie nowych osad rolnych, podług projektu członka komitetu Moldenhawera, zaproszony został Stanisław hrabia Tarnowski,

*

na odczyty do Warszawy. Nie dziwcie się temu. Hrabia jest w modzie, odczyty hrabiego należą do *szyku*, a więc kasa komitetu będzie napełnioną, a przyszłość wielu dzieci biednych i głodnych, stojących na progu zbrodni uratowana. O cóż więcej chodzić może tym zacnym ludziom. Niech Warszawa broni się przed napaścią *hrabiego* na jej serdeczne uczucia, na jej ukochanych wieszczów, na wszystko to, co dziś kocha, a za co niedawno krew przelewała, i jeszcze przelewać może, gdy przyjdą okoliczności, że będzie musiała to uczynić. Niech Warszawa się broni!.. Jeżeli zaś tłumnie się zbiega, i głośno klaszcze, widać że jej się podobają tego rodzaju wystąpienia, lub się nie opamiętała, nie zrozumiała, co się kryło za słodyczą wdzięcznie ułożonych słów, wypowiedzianych z emfazą może zbyt teatralną, lecz Warszawka kocha się w emfazach i teatrze, a zatem klaskała.

Arystokracya nasza nie jest zbytecznie przychylną hrabiemu Stanisławowi, rozliczne są do tego powody, raz że hrabia zbyt po literacku angażuje ją w politykę, zbyt otwarcie i głośno ujawnia słabe jej strony, a przez to kompromituje ją, i coraz więcej czyni niemożliwą na przyszłość, gdy się będą rozgrywać prawdziwe i wielkie interesa narodu, a następnie co jest najważniejsze, że hrabia jak na hrabiego jest za ubogim.

Arystokracya nasza przeważnie wyzuta z godności w kraju, a zatem z obowiązków i pracy, nudzi się, a nudząc się rachuje i rachuje swe i drugich dostatki. Te obrachunki nieustanne stanowią treść rozmów w kółkach rodzinnych, i najbliższych przyjaciół. Arystokracya nasza ze swej kastowości, przesądów, chciwości i rozkoszy, w nieustannym rachunku podobną się staje do żydów, i jak w Warszawie, chętnie z nimi przestaje, a nawet kojarzy się przez małżeństwa.

Początkowo cała rodzina Branickich była zawzięcie przeciwną naszemu bohaterowi. Tylko upor młodziutkiej i szlachetnej osoby, i wpływy pani Adamowej Potockiej przełamały niechęć, a szczęśliwe pożycie nowożeńców złagodziło przykre stosunki w rodzinie.

Hrabia zdecydował się na drugi warszawski odczyt, a drogę mu torowali, u rządu nowa rodzina, zapewniając o nieszkodliwych tendencyach hrabiego, a tem mniej szkodliwych zamiarach jego dla wrogów naszych. Rząd przeświadczony o niewinności hrabiego rycerza, który tylko chce mordować Pankracych, wszelką zaś władzę szanuje, albowiem ta pochodzi od Boga, pozwolił. Należało teraz tylko, wyrobić hrabiemu w Warszawie u eleganckiego motłoszku (tak arystokracya warszawska nazywa warstwę zamożną i inteligentną tego miasta). Cóż łatwiejszego nad to?! Hrabia jest profesorem na *Wszechnicy* jagiellońskiej, hrabia jest profesorem z poświęcenia i patryotyzmu, albowiem będąc hrabią mógłby nie być profesorem, jest także posłem, pisze książki po polsku, wydaje *Przegląd Polski*, słyszycie *Polski*. I chociaż przegląd nie ma 200tu prenumeratorów, wydaje go wciąż!! Cierpiał za ojczyznę, siedział w *Ołomuńcu* w 63cim, rok cały, dodawali ciszej. Te wyliczania zasług hrabiego dostateczne były, aby rozentuzyazmować, tak skłonne do entuzyazmów miasteczko. Entuzyazm zwykle zaślepia elegancki motłoszek wierzy na słowo, tem więcej słowo hrabiowskie, mało się oryentuje, bo się zachwyca zwykle na zimno, a więc ani się zoryentował, ani od razu zrozumiał, 4tego odczytu, tem bardziej że to był ostatni, a więc, comme de raison, przygotowany był do wybuchów.

A cóż prasa?! O prasie powiemy bardzo obszernie w następnym liście, w stosunku zaś do odczytów hrabiego powiemy tyle, że jedne się dzienniki zachwycały, drugie traktowały sprawę tę ze stanowiska objektywnego, bojąc się po prostu śmiało występować, aby nie stracić prenumeratorów. Z uwielbiających pierwsze miejsce trzymała *Gazeta Polska* (Kronenberg, Leo), która radaby odgrywać rolę „Czasu" w Warszawie, ale się jej to nie bardzo udaje. Żydzi w obronie ortodoksyi, i ultrajezuickiego katolicyzmu!?!.. Trzeci rok już upływa gdy *Gazeta Polska*, wystąpiła z artykułem wstępnym dającym się streścić w dwóch słowach: *precz z mrzonkami* (Kronenberg lubi pozować na Aleksandra II). Artykuły tego zakroju rodzaju, ducha i usposobienia *Czas* od chwili gdy hrabia jest jego właścicielem, codziennie wyrzuca, a przyjmowane są przez zachodnich Galicyan z apatyczną obojętnością, w Warszawie zaś jeden jedyny „Gazety Polskiej" narobił wielkiego hałasu, wywołał oburzenie, i nazajutrz parę set numerów „Gazety", z tymże artykułem odesłano do redakcyi. Nie było sposobu wojować, gdyż po drugim podobnym artykule zabrakłoby prenumeratorów i czytelników. Zamilkła więc gazetka, rewanżując się „Listami o Galicyi" i innemi elokubracyami mniejszej wartości.

„Kronika Rodzinna" usiłuje w królestwie zastąpić „Przegląd Polski", dość powiedzieć, że Odyniec rej tam wiedzie.

Kronika rodzinna przedrukowała odczyty, (4ty znacznie złagodzony i poobcinany), a chwaląc prelegenta porównywała go do Jowisza, publiczność do Danae, a słowa jego do złotego deszczu. Jowisz zmienił się w dukaty słów, spadając niemi na łona pięknych Warszawianek...

Takich miał *po służbie* (a Moskali mówią po ukazu) obrońców hrabia-prelegent. „Kuryerek Codzienny," „Goniec" i inne protestowały, lecz cicho, z obawy przed opinią i publiką... „Kuryerek Warszawski," „Kłosy" i inne dogadzając opinii steoretypowo chwaliły. Edward (jednego niestety imienia) Lubowski, napisał kilka aforyzmów.

„Bluszcz," to najpatryotyczniejsze ze wszystkich pism, było tyle zabawne, że się nie poznało na szarlatanizmie patryotycznym hrabiego, i w filozoficznym dytyrambie obkadziło hrabiego, jak mogło i umiało. Wszystkim można przebaczyć, lecz „Bluszczowi" nigdy, który z takiem namaszczeniem pozuje na nieskazitelnego w rzeczach narodowych i uczciwie postępowego. I cóż chcecie, jeżeli „Bluszcz" był olśniony i odurzony jak student lub pensyonarka, cóż się musiało dziać ze starymi studentami i staremi pensyonarkami, dla których *szyk, moda, sala w ratuszu, tytuł hrabiego,* wszystko znaczą. A pamiętajcie, że dwie trzecie warszawskiej ludności składa się ze starych studentów i starych pensyonarek. Bo inaczej jakżeby można zrozumieć odsyłanie „Gazety polskiej" jej redakcyi z owym artykułem wstępnym, a oklaskiwanie hrabiego prelegenta.

Co krok u nas spostrzeżesz podobne anomalia, dowodzące, że Warszawka nie ma zmysłu krytycznego, żyje chwilą, rządzi się chwilową fantazyą, bardzo mało lub prawie nic nie wie, co się dzieje za jej rogatkami, a mało lub zupełnie nic się nie rozumie na *pracach społecznych*, agitacyach, wyrobie opinii, jej kierunku, wpływach i oddziaływaniu, nic, nic, wszystkie te rzeczy będące wielką dźwignią narodów na zachodzie, są dla niej zupełnie obce. Same teorye, powtarzam, niczego nie nauczą. Dla tego też hrabia będzie jeszcze raz przyjęty i oklaskiwany.

Hrabia był u Kotzebuego, prawda, lecz to dla tego, że cała jego rodzina bywa. Zresztą Kotzebue protegował rycerza, należało mu więc podziękować. Kozebue w Warszawie należy do *szyku*. W Warszawie w arystokracyi są dwojakiego rodzaju wieczory i bale. Z Kotzebuem lub bez Kotzebuego.

— Będziesz dziś u Stasia (Karskiego)?— pyta się mnie jeden ze znajomych.

— Nie wiem — odpowiadam.

— Ależ bądź, dziś bal z Kotzebuem!

Dawniej mówiono z zamrożonym szampanem.

Zdaje mi się żem wytłumaczył i rozjaśnił stosunek hrabiego Stasia do Warszawy. Zamilczam więc już o tej kwestyi.

Mieliśmy tu koncert na dochód panny Deryng, na którym grano kaprys Musseta i jedną cząstkę z dramatu „Marco Foscarini." Z cząstki tej nie mogę żadną miarą zrozumieć loiki tego utworu. Podejrzywam go, że on cały grzeszy przeciw loice. Dajmy mu pokój, a wracając do samego koncertu, powiem prawdę, że przykre robią na mnie wrażenie tego rodzaju wyzyskiwania i wymuszania jałmużny.

W ślad za panną Deryng idzie Menie, baletnik, za nim jeszcze ktoś trzeci, i tak aż do znudzenia, czyli aż do czasu, w którym w Warszawie sprzykrzy się tego rodzaju rozrywka.

Lecz co będzie dalej, co się stanie z nami, z Polską, z Moskalami, — zawołają na mnie trzymając niemal za poły surduta politycy lwowscy.

Zwykle raz na lat sto Opatrzność, lub szczęśliwy fatalizm sprowadza na znękany naród chwile wielkiej doniosłości, jeżeli z tych nie umie skorzystać, idzie znów spać na drugie lat sto! Chwile te wielkie i w przyszłość brzemienne zbliżają się, lecz nie ma żadnej nadziei, abyśmy z nich umieli skorzystać. Wymawiam sobie, aby mnie nie posądzano o wywoływania zbrojnych powstań...

Nie potrafimy z nich skorzystać, albowiem nie mamy wyrobionych sił intelektualnych i moralnych, a żadnych zdolności organizacyjnych.... Przy najszczęśliwszych chwilach Sejm lwowski stanie w Warszawie i w Królestwie odszuka swoją Lodomeryę, a prawo ochrony kozic i świstaków będzie ogłoszone. Warszawka przyjmie Sejm z otwartemi rękami i spokojnie będzie czekać, aż dorośnie młode pokolenie.

Obowiązkiem jest bronić się od napaści, nie dać się maltretować, ale oprócz tego należy samym iść naprzód, to jest działać. Patrzajcie, Turcy tylko się bronili — i — zaczynają przegrywać... Należy iść naprzód!

Warszawa d. 5. listopada.

Piśmiennictwo polskie.

Stosunki Bolesława Chrobrego ze stolicą apostolską. Rozprawa Antoniego Żukowskiego pomieszczona w sprawozdaniu dyrekcyi c. k. gimnazyum św. Anny w Krakowie za r. 1877, od str. 1–58.

Praca, z której zdajemy sprawę, da się na trzy główne rozdzielić części. W pierwszej rozwija autor powody, dla których źródła dziejowe nie przechowały

nam żadnych dowodów troskliwości biskupów rzymskich o losy polskiego kościoła za Mieszka i w pierwszych latach panowania Bolesława Chrobrego. Wyłącznie tylko ów zagadkowy akt, przez którego całą krainę polską w granicach zakreślonych jej wojowniczym Chrobrego orężem, ofiarowano na własność stolicy apostolskiej, stanowi jedyny dokument świadczący, że w Rzymie za Jana XV znanem było nietylko imię Polski, ale wiedziano nawet o granicach i stolicy tego kraju. Słusznie uważa autor, że dwa główne motywa wpłynęły na to, iż w tym okresie nie były ani częstemi ani ożywionemi stosunki między stolicą apostolską a jej najmłodszem dziecięciem, Polską, — pierwszego szukać należy w warunkach wśród jakich państwo Mieszka wiarę św. przyjęło, drugiego w owej fatalnej pozycyi, w owej głębokiej niemocy i poniżeniu, w jakie papiestwo ówczesne popadło.

Biskupstwo poznańskie, jako pierwsze polskie biskupstwo, założone przez Mieszka poddane zostało pod nadzór metropolii magdeburskiej, a ztąd też w wątpliwych kwestyach zwracać się musiał biskup poznański przedewszystkiem do bezpośredniego swego zwierzchnika arcybiskupa magdeburskiego, a tem samem nie zachodziła potrzeba odwoływania się wprost do stolicy apostolskiej i zawiązywania z nią ściślejszych stosunków. Drugi motyw rozwija autor obszernie (str. 11—27) podając w streszczeniu podług Gfrörera pełny obraz gwałtownych burz wstrząsających stolicą św. Piotra aż do chwili, gdy w wiecznem mieście pojawia się Radym v. Gaudenty, rodzony brat św. Wojciecha. Z misyą Radyma rozpoczyna się druga niejako część rozprawy, zdaniem naszem najważniejsza i najlepiej opracowana.

Układy toczące się w Rzymie w sprawie fundacyi samodzielnego arcybiskupstwa z podporządkowaniem całego kraju polskiego pod jego berło — to pierwszy ślad bezpośrednich stosunków Polski ze stolicą apostolską, a z nominacyą Radyma na arcybiskupstwo Polski, z ową emancypacyą Polski z pod kościelnej zwierzchności Niemiec w Rzymie uchwalonej, pozostaje w ścisłym związku pielgrzymka Ottona III do Gniezna. Bardzo trafnie określa autor znaczenie gnieźnieńskiego aktu i jasno tłumaczy ową godność patrycyusza, jaką Bolesław zaszczycony został, opierając się na formule ogłoszonej przez Giesebrachta w „Geschichte der deutscher Kaiserzeit„. (t. I. str. 876). Podzielamy w zupełności zapatrywania autora, że stosunek Bolesława Chrobrego do cesarza Ottona był stosunkiem równości, stosunkiem koordynacyi równorzędnych potęg, obaj mają tę samą najwyższą godność, obaj te same insygnia swego monarszego majestatu, toż samo diadema cesarskie, tę samą włócznię św. Maurycego z gwoździem krzyża pańskiego. Ta też część rozprawy p. Ż. uzupełnia w niejednym względzie poglądy Zeisberga i Stasińskiego.

Mniej pochlebnie musimy się wyrazić o ostatniej części niniejszej pracy, zajmującej się roztrząśnieniem wiadomości zapisanej w rocznikach polskich i pomnikach dziejowych węgierskich o poselstwie polskiem, przybyłem do Rzymu za Sylwestra II z prośbą o koronę królewską. Twierdzi wprawdzie autor, że roczniki nasze poczerpnęły tę wiadomość najprawdopodobniej z kroniki węgiersko-polskiej, lecz źródło to zbywa utartym dotąd ogólnikiem, jakoby było przepełnione bajkami i anachronizmami, a nieznanem jest autorowi obszerne studyum Ernesta Świeżawskiego nad kroniką węgiersko-polską, ogłoszone w Warszawie. Domysł autora, na który wpadł pierwszy Bielowski, jakoby księciem polskim wyprawiającym poselstwo do Rzymu po koronę królewską był syn Mieszka I i Ody, imieniem także Mieszek, przyrodni brat Bolesława Chrobrego, nie znajduje poparcia w źródłach. Zdaniem naszem nie można iść za śladem Büdingera i uważać całe podanie o owem poselstwie za zmyślenie Hartwiga, ale raczej wypada przyjąć uzasadnione twierdzenie Zeisberga (Misew str. 113), że wysyłającym to poselstwo do Rzymu księciem był Bolesław Chrobry. Daty zgadzają się zupełnie. Dnia 15 marca r. 1000 w czasie pobytu swego w Gnieźnie nadaje Otto III. Bolesławowi Chrobremu prawa stanowiące istotę królewskiej władzy, poczem Bolesław wysyła poselstwo do Rzymu pragnąc formalnie z rąk papieża uzyskać koronę.

Jako dodatek do rozprawy podany jest akt zapisania Polski na rzecz stolicy apostolskiej podług trzech odpisów, ogłoszonych przez Giesebrechta.

Rozprawa p. Ż. napisana gładko, zaopatrzona obficie w cenne niekiedy noty, opracowana z dokładną znajomością źródłowych materyałów do tej kwestyi się odnoszących, jest rękojmią, że młody autor pomnoży poczet pożytecznych pisarzy na polu dziejopisarstwa naszego.

M. Chyliński.

Tydzień lwowski.

Lwów dnia 13. grudnia.

Pozwólcie kochani czytelnicy niech odetchnę! Dopiero co wróciłem z ratusza, Ludwik Wolski przeszedł 1201 głosami, współzawodnik jego p. Jan Dobrzański otrzymał 1058, mamy więc posła do Rady państwa! W tej gorączce agitacyjnej doprawdy można głowę, uszy i oczy stracić, tak to wszystko szło gorąco, bańczucznie, po naszemu! Nie uwierzycie, jak taka heca miła jest dla serca prawdziwego Lwowianina, czuje się wtedy dopiero swą wartość wyborczą, widzi się człowiek szanowanym, głaskanym, wbijanym w ambicyę przez tyle żywych słów wygłaszanych z magistrackiej trybuny, przez tyle drukowanych słów porozlepianych na rogach, czołach i piersiach poczciwych lwowskich kamienic. Nawet zaniedbane przez Nadpełtwianina parkany i podejrzanej uczciwości zaułki, dostały tym razem po wielkim arkuszu Ludwika Wolskiego, i zaraz obok jakby w małżeństwie po egzemplarzu protestu pana Feliksa Piątkowskiego. Idziesz ulicą, ten ci daje płachtę z odezwą „Do szanownych wyborców", drugi wciska ci w kieszeń „Baczność wyborcy", tam na nos ci spada „Obywatele wyborcy", tu ci zawijają kiełbaski w „Obywateli miasta Lwowa" a w restauracyi każą usta obcierać rezygnacyą p. Rewakowicza. Kiedym wrócił do domu po tych operacyach, to stara gospodyni nie mogła się odemnie innych słów wydobyć jak tylko: Dobrzański i Rewakowicz, Wolski i Dobrzański i znowu Rewakowicz z Piątkowskim, a wreszcie Mańkowski, zarządca Drukarni Związkowej...

Ciekawa historya potrzebująca głębszych studyów psychologicznych była z tym panem Piątkowskim, powiada: byłem w drukarni związkowej i widziałem jak Wolski rozmawiał z Mańkowskim. Ten ostatni protestuje: nieprawda, nie byłeś, nawet noga twoja tam nie postała. Pan Feliks Piątkowski na to: nieprawda bo byłem, aleście mię nie widzieli. „Chociażeśmy cię nie widzieli to nie byłeś — otóż byłem, byłem i byłem— powtarza pan Feliks, a jeżeli nie wierzysz to mię zaskarz do Sądu, ja przysięgnę, że byłem — inaczej jak mię nie zaskarżysz, to ja cię zaskarżę i zrobię wam z tym Wolskim taki proces, że cały Lwów się zgorszy i ja przed całym Lwowem powiem że p. Ludwik Wolski powiedział to słowo k..., a on sam jest k... i kwita!

Tu znowu posługacz publiczny lepi Dobrzańskiego na Wolskiego, w tem przybiega drugi z kopystką i garnkiem jako oznaką swego urzędowego charakteru i lepi Wolskiego na Dobrzańskim... „Jak ty śmiesz mojego kandydata smarować! — krzyknie pierwszy.

— A ty dlaczego mojego zasmarowałeś?

— Bo mój lepszy.

— Mój jeszcze lepszy! ty, ty... baciarzu..

Za baciarzem, kopystka z klajstrem zrobiła pewien ruch ku fizyognomii Dobrzańszczyka, Wolszczyk zapłacił mu garnkiem — ten oddał garnek za garnek i jeszcze dołożył pięściową admonicyę — aż wreszcie zjawił się c. k. pionier porządku społecznego i zabrał obydwóch reprezentantów kandydackich wraz z klajstrem, łopatkami i zapasem odezw przyjacielskich do kozy.

Jakie to szczęście żeśmy nie postawili naszej redaktorskiej kandydatury? Bo najprzód potrzebowalibyśmy się godzić, zobowiązywać, rewokować i w końcu się tłumaczyć, że nam przeszkodzili Stańczykowie, żydzi, Osman basza i tym podobne dolegliwości noszące znamię c. k. interwencyi. A tak z cywilną odwagą bez żadnego głosu, (co właśnie jest najlepszą oznaką cywilnej odwagi), jesteśmy sobie tym samym Tygodniem, co przed tygodniem i kiedy pana Juliana sprowadzimy tu z Wiednia po rozgrzesznie, jednym susem zasiędziemy jego krzesełko w Radzie państwa i przypuścimy szturm do delegacyi. Dla objęcia sukcesyi po panu Smolce nie czuliśmy się na siłach stanąć do walki z konsulem i pionierem galicyjskim; na to nikt tu u nas nie miał tyle rozumu, trzeba go było aż z Wiednia sprowadzić, ale po panu Julianie lżejszy będzie obowiązek: — kupić funt waty, zatkać sobie uszy i ratować Austryę czy tego chcą lub nie chcą Madziarowie, a nawet my sami.

Dziś cały Lwów wyborczy wyciągnął się na łóżku i spoczywa z błogiem przekonaniem o swojej sile, swoim rozumie politycznym, swojej dojrzałości i statku. Któż nam zarzuci brak tego wszystkiego, pytam kto? Chyba jeden „Czas" krakowski śmiać się będzie; dobrze, niech się śmieje, co nam dziś, to tobie jutro, złość na złość. A jak przyjdzie ktoś trzeci z nahajką i powie basta! — to będziemy siedzieć spokojnie i będziemy cichutko jeremiaszować, że nas przemoc przygwoździła, mówiąc słowami pana Rewakowicza. Bawcie się zatem kochani Lwowianie w ciuciubabki polityczne, jest to bardzo niewinna gra z zawiązanemi oczami, można bić każdego, bo się nikogo nie widzi!

Wobec tego głosowania, nie mogliśmy słyszeć metalicznego głosu nowej diwy, którą nam pan Strakosz pokazuje za drogie pieniądze. Jak zapewnia sprawozdawca jednej z tutejszych gazet Małgorzatę w „Fauście" grała lepiej niż prawdziwa Małgorzata, a Łucyę z Lamermoru przedstawi daleko lepiej niż w Londynie, albowiem nie głosując na posła do Rady państwa, uchroniła swój gardziołek od chrypki wyborczej, a my znowu nie będąc przy głosie, tak jak na bezrybiu, trochę głosu nawet weźmiemy za cały głos.

Mieliśmy w tym tygodniu jeszcze jeden fenomen w rodzaju Pinetowskiego wyjazdu naraz przez wszystkie rogatki. Panna Rene, bez telefonu śpiewała naraz na koncercie danym przez skrzypka Sauret z panną Timanoff w sali ratuszowej, i na koncercie w hotelu George'a, przynajmniej wasz sprawozdawca, który bierze wszystko podług programu, gotówby przysiądz, że ją słyszał w sali ratuszowej. Gdy wypadła na nią kolej śpiewania, wyszła na estradę w towarzystwie p. Marka i śpiewała, sądzę bowiem, że gdyby to była naprzykład panna Marco, jak niektórzy powiadają, pan Marek byłby nas o tem uprzedził. Tymczasem ci co w tym samym czasie byli w salonie George'a powiadają, że tam śpiewała panna Rene; ztąd powstał spór między nami taki sam jak między p. Mańkowskim i p. Piątkowskim, szczęście tylko, że nie mamy za co plakatów drukować i że sprawa zostaje między czterema ścianami.

Gdybym wiedział, że mię poczciwy ludek lwowski posłucha, powiedziałbym, że ten p. Sau-

ret gra z nieporównaną werwą i życiem na swoich skrzypcach, i że zapomina się, iż śpiewne tony te wychodzą z jakiegobądź instrumentu. Wsłuchawszy się lepiej w taką np. sonatę Bethovena, choćbyś najmniej miał poczucia muzykalnego, zapomnisz o całym Bożym świecie i zdaje ci się, że śnisz leżąc na miękkiej murawie w raju Mahometa, a rajskie również ptaki wachlują cię swym rajskim ogonem i nie pozwolą cię rozbudzić nim cała dusza twoja nie przesiąknie rajską błogością, której wspomnienie zostanie tam na zawsze. Żałujcie kto nie słyszał gry tego mistrza tonów, zaprawdę wart on lepszego uznania niż publiczności lwowskiej, świecącej na koncercie swoją nieobecnością.

I przedstawienie amatorskie tegoż samego dnia dane na dochód Stowarzyszenia pracy kobiet, udało się równie dobrze, a pod względem liczby uczestników, jeszcze lepiej od koncertu p. Sauret. Część koncertowa przy współudziale utalentowanych amatorów wypadła świetnie: chóry mięszane, śpiew prawdziwej panny Rene, kwintet Schumana, Chopin pod ręką pana Boguckiego przyjemnie zajęły całe towarzystwo. Pni Parżnicka wygłosiła z wdziękiem i precyzyą ustęp z Legendy wieków Wiktora Hugo, a amatorowie-artyści odegrali wcale gładko „Krzyżyk na drogę,“ komedyjkę Felicyana, która jakkolwiek nie wielkiej wartości scenicznej, zyskała dużo przy dobrej grze amatorów.

Dzisiejsza kronika nasza zajmując się przeważnie głosowemi interesami Lwowa, nie może pominąć wiadomości, że przy zapowiedzianych odczytach na dochód Stowarzyszenia wzajemnej pomocy słuchaczy Politechniki lwowskiej, pan Abakanowicz pokaże nam cudowny Telefon, który jak żywy człowiek, rozmawia, śpiewa, głosuje na kandydatów za pomocą drgającej blaszki i drutu elektrycznego. Niektórzy powiadają, że za pomocą tego instrumentu można rozmawiać o kilka mil ze sobą, a nawet całować się telefonicznie. Ja znowu temu nie wierzę, dopóki swojemi własnemi uszami nie usłyszę i własnemi ustami nie poczuję. Inny znowu uczony zapowiada, że potrafi głos uwięzić w papierze na wieki, i że założywszy ten papier na pewną maszynkę, można będzie usłyszeć rozmowę, którą parę lat temu powiedział Bismark w parlamencie niemieckim, albo np. pan Rewakowicz na zebraniu wyborców. Prostaczkowie z tego się śmieją, a uczeni również się śmieją z ich niewiadomości, bo to wszystko jest możebnem. Tymczasem żeby się uśmiać na prawdę, dość przejrzyć ostatnie numera „Szczutka“ i „Dyabła“ krakowskiego, aby sobie ułatwić lepsze trawienie po obiedzie. Ten „Dyabeł“ z pod Wawelu, to jakoś umie sobie dawać radę ze Stańczykami, i coraz lepsze pokazuje im rogi. Dziwi nas tylko zkąd tam w tym zakopconym Krakowie nazbiera się tyle dowcipu i humoru, że można nim kilka stronic zadrukować? To chyba nie ich dowcip, to musi być pożyczany albo z Kołomyi, albo z Tarnowa z Rady miejskiej. Że tam są plagiaty wiejskie, o tem wiemy czytając wesołe i rwące jak potok piosnki Rodocia, ale żeby reszta była z krakowskiego bruku — nie wierzymy.

Choć to nie należy do kronikarskiego działu musimy donieść czytelnikom, że pan Richter poreperował starą „Strzechę“, ktora trzy lata stała pustkami, i po Nowym Roku zaprasza czytelników do siebie. W Poznaniu wstaje również „Lech“ jedyne tam pismo literackie, a „Towarzysz pilnych dzieci“ wydawany przez p. Władysława Bełzy we Lwowie namówił szanownego J. I. Kraszewskiego, że ten napisał im śliczną powiastkę pod tytułem „Mitręga“ kiedyś w Promyku i Gwiazdce warszawskiej czytaliśmy jego utwory przeznaczone dla młodocianego wieku, nie jest to więc nowością, że szanowny patryarcha powieści polskiej nie zapomniał i o przyszłem pokoleniu, i rzuca im pełną garścią prawdziwe kwiaty swego talentu.

* * *

Na porządku dziennym są obecnie telefony, które zajmują nietylko całą Europę, ale i w naszym odległym zakątku wzbudziły nie małe zajęcie. Widzieliśmy już kilkanaście aparatów w naszem mieście funkcyonujących. Na ostatniem wtorkowem posiedzeniu Towarzystwa przyrodników, pomimo gorączki wyborczej, sala posiedzeń była formalnie zapełnioną. Profesor Soleski mówił bowiem o telefonie i pokazywał aparat ten pochodzący z jednej z fabryk wiedeńskich. Nie będziemy się rozwodzili nad teoryą tego instrumentu i powtarzali w streszczeniu tego co mówił prof. Soleski, gdyż już w kronice przyrodniczej i przemysłowej opisaliśmy ten przyrząd, a wkrótce drukować zaczniemy w łamach naszego pisma odczyt p. Abakanowicza o tym przedmiocie, który on wygłosi w niedzielę w sali głównej laboratoryum chemicznego szkoły Politechnicznej. Na dzień ten mamy ogłoszone dwa odczyty o tym interesującym przyrządzie, które się odbędą jednocześnie. Pan br. Gostkowski inspektor kolei Arc. Albrechta mówić będzie w sali szkoły politechnicznej, a p. Abakanowicz w sali chemii. Obie te sale znajdujące się w osobnych gmachach, połączone będą za pomocą drutów, i prelegenci będą się komunikowali drogą telefoniczną. Sądzimy, że publiczności na obu odczytach nie zabraknie i to tembardziej, że dochód z jednego przeznaczony jest na Stowarzyszenie ukończonych techników, a drugiego na Towarzystwo pomocy naukowej.

* * *

Z pomiędzy odczytów popularnych w tym roku urządzonych, na szczególną uwagę zasługują dwa ich szeregi, o których bardzo mało słyszymy, a które wydadzą bezwątpienia bardzo pożyteczne owoce. Są to odczyty urządzone przez profesorów Uniwersytetu dla szerszej publiczności. Prof. Syrski wykłada w tym roku „o człowieku“, a prof. Stanecki ma odczyty z dziedziny fizyki. Panie nasze uczęszczają bardzo pilnie na te wykłady i sądzimy, że skoro one już raz zostały zaprowadzone, nie zostaną w latach przyszłych zaniechane, a nawet nie wątpimy, że i inni profesorowie zechcą poświęcać w ten sposób swój czas dla dobra publicznego. Wykłady tego rodzaju są daleko pożyteczniejsze od wykładów, które się u nas co roku w salach ratuszowych odbywają głównie z tego powodu, że całe ich szeregi przedstawiają pewną całość, a nie są pojedyńczemi częściami wyrwanemi z dziedziny którejkolwiek nauki. Jeśli wykłady te w latach przyszłych przyjmą większe rozmiary, to kobiety nasze będą miały środek do wyższego wykształcenia się w naukach, które nie są objęte programami zakładów naukowych dla kobiet, albo też są tam traktowane w sposób nadto elementarny.

ODEZWA KSIĘGARZY LWOWSKICH.

Rok rocznie przybywa nam szkół ludowych, z każdym rokiem liczba uczniów tych szkół wzrasta i cieszyć się możemy tą błogą nadzieją, że przy ciągłym acz powolnym postępie oświata rozleje się na cały naród i całe masy ludowe objęte nią zostaną. Szkoły ludowe jednak ponad naukę czytania i pisania, nie wiele więcej dać mogą, zwłaszcza, że nie wszyscy poczynający te szkoły, kończą je. Ztąd wynika potrzeba, aby społeczeństwo pomyślało o dostarczeniu środków dalszego kształcenia ludu, a to tembardziej, o ile, że gdybyśmy się tylko ograniczyli na same szkoły, działa po ukończeniu takowych nawet i tego by zapomniała czego się w nich nauczyła.

Przedewszystkiem potrzeba, aby były książki, któreby dalszą naukę, dalszy postęp wychowańców szkół ludowych umożliwiły.

Do światłego obywatelstwa kraju należy książki te rozpowszechniać między ludem; i z prawdziwem też uznaniem przyznać musimy, jak to z naszego doświadczenia wiemy, że społeczeństwo nasze posiada wielu gorliwych o dobro kraju, o oświatę ludu i dobrobyt jego obywateli, tak między duchowieństwem jak szlachtą, a szczególniej między samymi nauczycielami ludowymi.

Do nas należy pamiętać o tem, aby w miarę wzrastających potrzeb powiększać zasób książek ludowych, aby zwiększać ich ilość nietylko co do liczby ale i w stosunku do coraz nowych potrzeb wskazywanych przez postęp wiedzy ludzkiej. Że zaś literatura ludowa w ostatnich latach zbyt mały zasób dzieł odpowiednich liczy, ztąd powstała tem naglejsza potrzeba wzbogacenia jej nowymi artykułami. Aby podołać zadaniu i przeprowadzić rzecz z jak największą korzyścią kraju, zawiązaliśmy się w wspólne koło, w celu wydawania książek ludowych. I ze swej strony zwracamy się do ludzi pracy, którym oświata ludu jest drogą z prośbą o zasilanie nas radami i pracami odpowiedniemi.

Na początek chcemy podjąć wydawnictwo w dwóch kierunkach: 1° Złożyć biblioteczkę z dziełek wyłącznie poświęconych rolnictwu, gospodarstwu wiejskiemu i przemysłowi rolniczemu i domowemu. Każda książeczka ma zawierać tylko jeden dział tak np. Uprawa roli, O nawozach, O nabiale, Pszczelnictwo, Warzywnictwo, Sadownictwo itd. itd. 2° Złożyć biblioteczkę naukową, czyli popularny wykład wszystkich nauk przystępnych dla włościanina, który tylko szkołę ludową ukończył: jeografia powszechna i polska, historya polska, chemia, fizyka, nauki przyrodnicze itd.

Szanownych autorów, do których z gorącem słowem w imię dobra powszechnego zwracamy się, upraszamy o nadsyłanie nam odpowiednich prac lub zawiadomienia o chęci podjęcia się takowych. Prosimy o nadsyłanie wiadomości, rad i wskazówek, a to w jak najkrótszym czasie, abyśmy tem rychlej i tem skuteczniej do pracy pszystąpić mogli.

Zgłaszać się można do każdej z podpisanych firm księgarskich.

Wszystkie pisma polskie upraszamy o powtórzenie tej odezwy.

Lwów dnia 10 grudnia.

Karol Wild, Seyfarth i Czajkowski, F. H. Richter, J. Milikowski, Wł. Bełza, A. D. Bartoszewicz (Księgarnia Polska)

Wiadomości z kraju i ze świata.

ZAPISY NA MEDAL PAMIĄTKOWY J. I. KRASZEWSKIEGO.

3. Wny. Hajdukiewicz w Jaśle 3 złr.
4. Wny. Chołowiecki Leonard w Stanisławowie 3 złr.
5. Wny. K. Brzostowicz w Ostrowie p. Tarnopolem 3 złr.
6. Wny. Hefern. Dr. banku hip. we Lwowie 3 złr.
7. Wny. Parylak Piotr pr. gim. w Stanisławowie 3 złr.
8. Zarząd dóbr Palikrowy 3 złr.
9. Wny. Turek Jędrzej w Sówarze 3 złr.
10. Wny ks. Wład. Dimmel w Dubiecku 3 złr.

Literatura, sztuka i nauka

— Katechizm hodowania drzew owocowych jako też rozpoznawania owoców i wyrabiania jableczników ułożony przez Antoniego Schmidta. Opuścił prasę w Sanoku, nakładem Karola Wilda. Pozostawiając ocenę powyższego dzieła specyalistom, zaznaczony na tem miejscu o wyjściu z druku książki przez praktycznego ogrodnika opracowanej, do naszego klimatu i gleby zastosowanej, a napisanej z prawdziwą miłością kraju i chęcią rozbudzenia zamiłowania do tej tak ważnej gałęzi naszego rolnictwa, a tak okropnie dotąd zaniedbanej ze szkodą zarówno właścicieli ziemskich jak i bogactwa narodowego.

Katechizm, jak sam tytuł wskazuje, ma główne przeznaczenie dla szkół i autor chciał książką tą przyjść w pomoc nauczycielom wiejskim w wykładzie tego ważnego przedmiotu.

— Wolski czy Dobrzański? Głos wyborcy lwowskiego (Teofila Merunowicza) w sprawie kandydatur na krzesło poselskie. Nakładem autora.

— *Ksiądz Marek* Juliusza Słowackiego, opuścił prasę jako 58 tomik Biblioteki Mrówki. W dalszym ciągu wyjdą z druku w tej Bibliotece tegoż autora: *Marya Stuart* i *Mazepa*.

— Przy nadchodzącej Gwiazdce chcemy zwrócić uwagę publiczności na jedyne u nas czasopismo poświęcone dziecinnemu wiekowi, a wydawane staraniem i pod redakcyą p. Władysława Bełzy p. t. *Towarzysz pilnych dzieci*, jako na jeden z najstosowniejszych podarków dla dziatwy. Już pisma codzienne wyprzedziły nas podnosząc głos w sprawie podarków gwiazdkowych dla dzieci, oświadczając się przeciw kupowaniu rzeczy błahych, bezużytecznych i łatwo się psujących a przemawiając na korzyść książek jako rzeczy trwałych, pożytecznych i dla dzieci najmilszych. Łączymy i nasz głos do tego ogólnego chóru i radzibyśmy widzieć w rękach dziatwy odpowiedniejsze dla ucywilizowanych społeczeństw zabawki, które byłyby zarazem pożytecznemi. Literatura dziecinna nasza jest bardzo bogatą, a nie tylko książki temu wiekowi poświęcone mają wysoką wartość wewnętrzną, ale i sama szata, sama powierzchowność jest nęcąca oko dziecka. Posiadamy mnóstwo illustrowanych wydań w ładnych oprawach z zastosowaniem do różnego wieku dzieci.

— Poezye Aurelego Urbańskiego wyszły w nowem pomnożonem wydaniu, nakładem A. Vogla we Lwowie.

— Na dochód towarz. wzajemnej pomocy naukowej słuchaczów politechniki odbędzie się w sali ratuszowej szereg odczytów naukowych, w których łaskawy udział przyrzekli następujący prelegenci:

P. Henryk Schmitt, czł. rady szkol. kraj., mówić będzie „O sprawie polskiej na kongresie wiedeńskim.“

P. Br. Abakanowicz, doc. politech., „O nowszych poglądach na budowę światów.“

Dr. Oskar Fabian, prof. uniw., „Z dziedziny fizyki.“

Dr. Julian Ochorowicz, doc. uniw., „O zastosowaniu psychologii w życiu praktycznem.“

Dr Rom. Wawnikiewicz, doc. politech., „O konserwowaniu zwierzęcych i roślinnych materyj.“

Pierwszy odczyt odbędzie się w sobotę, d. 15. b. m. i mówić będzie p. Henr. Schmitt.

— Jako przyczynek biografii Klonowicza Gazeta Lubelska podaje list p. Detmerskiego, który podajemy poniżej wraz z dokumentami pisanemi według pisowni dzisiejszej dla uprzystępnienia go czytającej publiczności:

„Szanowny Redaktorze! Widząc, że dokument dotyczący śmierci Sebastyana Klonowicza, przezemnie podany, obudził tak żywy interes w prasie krajowej, iż niemal wszystkie pisma go powtórzyły, mam sobie za miły obowiązek podać do wiadomości publicznej jeszcze jeden fakt, dotyczący życia autora „Flisa“ i „Worka Judaszów“ a który przez biografów jego zupełnie został pominięty. Faktem tym jest zawezwanie Klonowicza na Superintendenta akademii Zamojskiej zaraz przy jej założeniu, o czem świadczą odnalezione przezemnie w aktach Radzieckich (księga 18 str. 257) kopia listu Jana Zamojskiego kanclerza i Hetmana Wielkiego koronnego do Klonowicza pisanego, oraz kopia umowy w tym przedmiocie zawartej, a które to dokumenta poskładane były przy sprawie tegoż Klonowicza przed sądem Radzieckim.

Oto, co we wspomnianych aktach czytamy:

„Stanąwszy oblicznie przed urzędem panów Radziec Lubelskich uczciwy Sebastyan Fabian Acernus, sługa natenczas Jaśnie Wielmożnego pana Jego Mci pana Jana Zamojskiego z Zamościa, kanclerza i hetmana koronnego, superintendent akademii Zamojskiej przyszłej, którą Jego Mość fundować w Zamościu raczy. Najprzód okazał list Jego Mci wyzwan, który list słowo od słowa tak się ma:

Memu miłemu i łaskawemu przyjacielowi panu Sebastyanowi Klonowiczowi przysiężnikowi miasta Lublina.

Łaskawy panie miły Sebestyanie! Dobrego zdrowia od Pana Boga waszmości życzę. Radbym już skoro po Wielkiej nocy szkołę swoją w Zamościu otworzył, przeto jakom z waszmością mówił, dom waszmości zbuduję w Zamościu i rolę dam do niego i już to konferuję waszmości na wieczność prawem miejskiem, a tymczasem mieszkanie do zbudowania domu opatrzę. Do tego naznaczę waszmości Jurgielt na każdy rok jego, waszmość tamże o doma będzie miał (? niejasne — czy nie omyłka w kopiowaniu listu) choćbym sam na posłudze Rzeczypospolitej był, jedno oznajmi mi waszmość co rychlej na jakim się kontentować możesz, a iż trzeba będzie dwóch młodzieńców dla elementarzów, których w tym roku rozkażę uczyć tedym już zlecił starać się o nie w Krakowie. Waszmość jeśli też kogo masz przed rękoma, niech wiem i na czemby przestał. O czem wszystkiem mi waszmość znać do Warszawy nieomieszkując. Z tem waszmość Panu Bogu poruczam. Z Bendzima 14 Febuarii A. D. 1589. Waszmości życzliwy Jan Zamojski.“

Potem też okazał i kontrakt, który ma z Jego Mść, który tak brzmi:

Jaśnie Wielmożny pan. pan Jan Zamojski z Zamościa, kanclerz i hetman Wielki koronny postąpić raczył pewnego Jurgieltu panu Sebastyanowi Sulimirskiemu Acernusowi złotych polskich sto i szesnaście od przyszłej Wielkiej nocy in anno 1589, za co pan Sebestyan obligował i podjął się w szkole Jego Mści. Zamojskiej, którą Jego Mść zakładać raczy czytać autory i lekcye, jako Jego Mość naznaczyć i rozkazać mu będzie raczył, do tego tę nową szkołę Jego Mość w staraniu i dozorze swym mieć będzie powinien także starać się o to ma, aby deklamacye i insze egzercycya w naukach w tejże szkole Jego M. na każdy tydzień, działy się Nadto. Jego M. z łaski swej obiecać raczył, iż rozkaże dom zbudować w Zamościu i dawszy rolę do niego prawem miejskiem na wieczność da go panu Sebastyanowi. Działo się w Zamościu 9 Junii 1589 J. Zamojski.“

— Ruska Starina rozpoczęła druk ciekawego artykułu pt.: „Księżna Łowicka“. Są to szczegóły historyczne tyczące się osoby małżonki Wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza (Grudzińskiej).

— „Kronika Rodzinna“ zapowiada w roku przyszłym druk poezyi Zygmunta Krasińskiego, oraz jego „Powieści fantastycznej“, z niewydanych dotąd rękopismów.

— Dyplomataryusz żydowski. P. Matyas Bersohn wydaje dyplomataryusz żydowski dawnej Polski. Ciekawy ten zbiór utworzony został z liczných dokumentów rozrzuconych po całej Europie.

Najcelniejsze zabytki (prócz naszych archiwów) znalazły się w Londynie, oraz Amsterdamie. Pomiędzy innemi ciekawe pamiętniki pisane przez emigrantów (za czasów Chmielnickiego) dostały się w ręce Szan. wydawcy, który zająwszy się przetłumaczeniem takowych na język polski, odda je na użytek publiczny.

Wiadomo, że w czasach pierwotnych sprzedawano tylko po karczmach naszych piwo i miód; wódka palona w Niemczech, później dopiero weszła w użycie. Wyszynkiem każdy mógł się trudnić, potem jednak żydzi wyjednali na swoją korzyść rozmaite ograniczenia; wówczas to ślepa opinia publiczna, uczyniła im zarzut, iż nie chcą uprawiać roli, a bogacą się rozpajaniem chłopstwa. Kozactwo zawrzało przeciwko nim niechęcią, skutkiem czego tłumnie uchodzili na Węgry i Wołoszczyznę, a nawet i dalej. Uczeni rabini spisywali sprawozdania z tej smutnej epoki, w której żydzi pierwszy raz u nas zaniepokojeni zostali, a interesujące materyały, o jakich mowa, rozleciały się po całym świecie.

Zebranie tych dokumentów, rehabilitujących pamięć niesłusznie spotwarzonych wyznawców judaizmu, jest wielką zasługą p. Bersohna. Cała publikacya wyjdzie w trzech tomach; pierwszy jest gotów do druku.

— Gounod pracuje obecnie nad nową operą, do której libretto piszą panowie Poirson i Gallet. Opera ta nosić będzie tytuł „Maitre Pierre“. Treść libretta wzięta jest z życia Abelarda i Heloizy.

— Dowiadujemy się, że z powodu słabości zdrowia, Józef Wieniawski, postanowił usunąć się od obowiązków dyrektora Towarzystwa muzycznego. Obowiązki dyrektorá, aż do czasu wyborów na ogólnem zebraniu, pełnić ma zastępczo p. Kleczyński. Wieniawski jednak pozostaje nadal członkiem komitetu.

— W akademii sztuk pięknych w Petersburgu w dniu 16 z. m. odbył się akt uroczysty zamknięcia roku szkolnego. Z liczby 240 studentów odbywających kursa, jest w akademii 38 Polaków. Z nich obecnie otrzymali nagrody: Pius Weloński, rzeźbiarz, otrzymał wielki medal złoty, nadto wysłany on zostanie kosztem rządu na lat pięć za granicę. Wielkie medale srebrne pozyskali panowie Wiesiołowski Ludwik, Ryszkiewicz Józef i Konopacki Jan, malarze, oraz architekt Tołkowski Józef; mały srebrny medal otrzymali pp. Bakałowicz Stefan, Gołębiowski Kazimierz i Dunin Kazimierz, malarze, oraz architekt, Osuchowski Hieronim. Medale zachęty pozyskali pp. Tomasz Siwicki, malarz i Karol Dąbrowski, architekt. Prócz wymienionych, student 3 kursu, Stefan Schüler, otrzymał za swe prace od akademii nagrodę pieniężną.

— Zanim urzędowo otwarte zostanie w Rzymie Muzeum Kopernika od 15. listopada odbywa się już we Florencyi czasowa wystawa przedmiotów do muzeum przeznaczonych. Inicyatywę wystawy takiej dał dr. Artur Wołyński, który też wynajął już odpowiedni lokal w domu, gdzie sam mieszka, przy Via della Scala Nr. 43. Na owej wystawie pomieszczone zostaną główniejsze przedmioty własność muzeum stanowiące dzieła, albumy i wiele utworów sztuki, mianowicie: kolosalny biust Kopernika na marmurowym piedestale Rygiera; statua, przedstawiająca Kopernika, Rygiera; medaliony Kopernika i Galileusza, Rygiera; portret Kopernika w staroświeckich ramach, Siemiradzkiego; cztery figurki bronzowe z fabryki Mintra; sztychy i ilustracye Andriollego, Matejki, Lessera, Gersona, Maleszewskiego, Oleszczyńskiego, razem 15 sztuk - wszystkie w ramach i za szkłem, oprócz tego akwarella Gersona z obrazu własnego: „Kopernik w Rzymie“, akwarella Millera i kopia z portretu Kopernika w obserwatoryum warszawskiem. — Obok tego znajdować się tam będą kopie galwanoplastyczne medali z epoki Kopernika, w tych dniach posłane z Warszawy drowi Wołyńskiemu.

— W styczniu 1878 roku odbędzie się w Madrycie wystawa sztuk pięknych.

— Zjawisko astronomiczne jedno z rzadszych i najbardziej może zajmujących, to jest przejście Merkurego przez tarczę słoneczną, nastąpi w miesiącu maju 1878 roku. Dla obserwacyi tego zjawiska Francya wysyła umyślną komisyę do San Francisco.

Nekrologia.

† W samą rocznicę Listopadowego powstania o godzinie 1ej w nocy zakończył we Wrześni swój długi żywot znowu jeden z nielicznych już weteranów z r. 1831 Tomasz Karczewski, mając lat 76. Zmarły służył w pułku ułanów t. z. dzieci warszawskie, w szwadronie rotmistrza Dziecimińskiego. Czynny udział brał w bitwach pod Pułtuskiem, Mińskiem, Grochowem, Ostrołęką i Bolimowem, gdzie ranny, szeregi bratnie opuścić musiał, by ich już więcej nie oglądać. Cześć jego pamięci!

ROZMAITOŚCI.

HISTORYA i PRZYGODY „IGŁY KLEOPATRY.“

Obok kwestyi wschodniej, głodu w Indyach, kursu tureckich papierów i zajadłych waśni stronników Gladstona ze stojącym dziś u władzy gabinetem, jest jeszcze jedna sprawa posiadająca w chwili obecnej rzadki przywilej zajmowania w wysokim stopniu obojętnej wyobraźni mieszkańców mglistej stolicy Albionu. Sprawą tą jest pełna przygód i trudności podróż mniejszego z dwóch obelisków aleksandryjskich, czyli tak zwanej „Igły Kleopatry“, z Aleksandryi do Londynu i właściwe ulokowanie tego sędziwego gościa na jednym z placów londyńskich.

Od miesiąca już przeszło dzienniki angielskie poświęcają sprawie tej swe olbrzymie kolumny i toczą z sobą zażarte i namiętne spory, lecz dotąd nic stanowczego nie postanowiono, gdyż tymczasem przedmiotowi tych sporów to jest „Igle Kleopatry“ los złowrogi wyrządził niespodziankę, która obróciła w niwecz wszelkie projekta i kombinacye. Wiadomo bowiem, że po przebyciu wszelkich możliwych nieprzyjemności połączonych z upakowaniem, władowaniem na statek i morską podróżą od Aleksandryi do Gibraltaru, olbrzymi monolit ten, który był świadkiem wędrówki żydów z Egiptu, miłostek Kleopatry, spalenia biblioteki aleksandryjskiej przez Arabów i tysiąca innych przewrotów dziejowych, na które patrzał z prawdziwie kamienną obojętnością, oderwał się od parowca, który go holował i byłby popłynął zamiast do Londynu, gdzieś do przylądka Dobrej Nadziei lub do Ameryki, gdyby go nie był złapał po drodze i odstawił do portu Ferrol kapitan statku handlowego „Fitzmaurice“. Obecnie dalszej podróży „Igły Kleopatry“ stoją na przeszkodzie wygórowane wymagania tego kapitana, który na podstawie prawa morskiego żąda, aby mu wypłacono wynagrodzenie, nietylko za wyratowanie statku „Kleopatra“, który wiózł obelisk, ale także za wyratowanie samego obelisku.

Pierwszą część żądania szanownego kapitana dopełnić bardzo łatwo, statek bowiem zaasekurowany jest na 4.000 funt. szterlingów, a prawo morskie oznacza dokładnie stopę procentową wynagrodzenia za wyratowanie od zatonięcia przedmioty. Ale oszacowanie obelisku jest rzeczą mniej prostą, a nawet tak trudną, że spierać się o nią można lata całe bez żadnego stanowczego rezultatu. Wiadomo bowiem, że ze wszystkich stolic europejskich tylko Rzym, Konstantynopol i Paryż, posiadają na placach swych po jednym egzemplarzu tego szanownego zabytku zamierzchłych faraońskich czasów; wynika więc ztąd, że obeliski są w ogólności przedmiotami nader rzadkiemi, nie stanowiącemi artykułu handlu, nie mającemi kursu na żadnej giełdzie europejskiej i nie mogącymi przeto podlegać oszacowaniu według zwykłych norm kupieckich. Zresztą kto go ma szacować? Zwykły kamieniarz, czy też zapalony amator i znawca starożytności? Pierwszy oszacowałby go zanadto nisko, wówczas gdy drugi kazałby zań zapłacić na wagę złota, stowem powstają tu spory i kontrawersye, które mogą się przedłużyć w nieskończoność, jeśli szczęśliwy znalazca „Igły Kleopatry“ zechce się trzymać litery prawa i nie zgodzi się dobrowolnie na przyjęcie wynagrodzenia niezbyt wysokiego. Ale i po załatwieniu sporu z kapitanem „Fitzmaurice'a“ i przywiezieniu obelisku nad Tamizę nie wszystkie trudności zostaną usunięte, gdyż należy jeszcze rozstrzygnąć trudną kwestyę wyboru placu, na którym stanąć ma ów weteran, który „czterdzieści wieków temu“ był ozdobą dziedzińca świątyni Apisa i wobec którego Partenon, Forum romanum, Coloseum i wszyskie inne niby starożytne zabytki europejskie wyglądają tak młodo i rzeźwo, jak dziesięcioletni chłopak obok stoletniego starca.

Komisya złożona z największych znakomitości angielskich, w liście których figurował i pan Disraeli będący sam pod wielu względami hieroglifem politycznym, była zdania, że najwłaściwiej będzie umieścić „Igłę Kleopatry“ na placu Westminster, przed gmachem parlamentu. Zanim jednak powzięto w tej mierze ostateczną uchwałę, postanowiono przekonać się jak też wyglądać będzie obelisk w sąsiedztwie takich olbrzymich gmachów jak opactwo Westminster i parlament. Zbudowano więc z drzewa i ustawiono na placu dokładny i tych samych rozmiarów model egipskiego monolitu i przekonano się, że jeżeli stojące na placu posągi Palmerstona, Derbyego i innych angielskich bohaterów słowa, wyglądają karłowato przy olbrzymie egipskim, to znowu sam ów olbrzym niknie zupełnie w obec olbrzymich wież Westminsteru i parlamentu. Oprócz tego stare szlachectwo „Igły Kleopatry“ drażniłoby w wysokim stopniu dumę angielską, gdyż każdy wierny syn Albionu, patrząc na obelisk i zwróciwszy następnie wzrok swój na opactwo Westminster, musiałby mimowolnie uczuć się dotkniętym tą niezaprzeczoną prawdą, że nawet ten najstarszy gmach starej Anglii wyglądać będzie obok obelisku Kleopatry jak najświeższej daty parweniusz, obok potomka towarzyszy Wilhelma Zdobywcy.

Dla wszystkich tych względów postanowiono więc nie stawić „Igły Kleopatry“ na placu westminsterskim i obecnie poszukują innego bardziej odpowiedniego i spokojnego miejsca dla tego sędziwego zabytku starożytności, który podobnie jak inne obeliski, przyzwyczajony jest do niczem niezmąconego spokoju. Wybór miejsca odpowiedniego napotyka jeszcze na tę trudność, że wszystkie place londyńskie podminowane są we wszystkich możliwych kierunkach rozmaitego rodzaju kanałami, tunelami kolei żelaznych i innemi podziemnemi komunikacyami. Zachodzi więc obawa aby po ustawieniu obelisku nie przyszła mu fantazya pewnego mglistego poranku, zapadnięcia się w podziemia i przygniecenia swym ciężarem pociągu pospiesznego wiozącego z City do Hyde Parku tłumy pięknych lady i dobrze wypasionych potomków John Bulla.

Dotąd nie rozstrzygnięto pytania gdzie ma stanąć „Igła Kleopatry“ i zapewno dużo jeszcze wody w Tamizie upłynie, zanim coś stanowczego będzie w tej mierze postanowionem. W ogólności obeliskom najlepiej jest w Egipcie, a cisza pustyni, palmy, ruiny świetnych faraońskich czasów i karawana powolnie poruszających się beduinów, są dla tych weteranów architektury daleko właściwszem tłem jak nasze nowożytne gmachy, koleje żelazne i tłumy. Niechby obeliski spoczywały tam, gdzie spoczywają od czterdziestu wieków i gdzie robią tak silne wrażenie na każdego myślącego człowieka, a z pewnością nikt na tem nic nie straci; — praktyczni zaś mieszkańcy Albionu oszczędziliby sobie na tem kosztów przewiezienia i ustawienia Igły Kleopatry, i nie mieliby potrzeby łamać sobie głowy nad wyborem placu godnego pomnika pamiętającego czasy, w których skromny i świątobliwy Józef był w posiadaniu teki ministra finansów u Faraona. Dla dokończenia tej pełnej przygód historyi Igły Kleopatry, dodać jeszcze potrzeba, że obydwa obeliski Aleksandryjskie, jak świadczą hieroglificzne napisy któremi są pokryte, stały poprzednio w Heliopolis, i wzniesione zostały przez sułtana Tutmesa. Dopiero za panowania Ptolomeusza Sotera przeniesione zostały do Aleksandryi, gdzie jeden z nich stoi do chwili obecnej niewzruszony na swej podstawie, wówczas gdy mniejszy niewiadomo kiedy runął w piasek. Mehmed-Ali chcąc okazać wdzięczność swą Anglii za poparcie okazywane mu przez to mocarstwo, darował ów mniejszy obelisk czyli Igłę Kleopatry m. Londynowi, które jednak uznało, że koszta przewiezienia daru tego będą tak znaczne, że nie warto go ruszać z miejsca. Igła Kleopatry spoczywała więc w piasku na jednem z przedmieść Aleksandryi aż do roku obecnego, poruszoną zaś została z miejsca i wyprawioną do Londynu kosztem i staraniem dra Wilsona znakomitego londyńskiego specyalisty, lekarza chorób skórnych. Dr. Wilson, jako prawy Anglik nie mógł znieść tego, że Paryż posiada swój obelisk a Londynowi brakuje podobnego; użył więc części bogactwa, które mu przyniosła praktyka lekarska, na zrobienie miastu rodzinnemu tego kosztownego i nawet na Anglika oryginalnego prezentu.

Praktyka chorób skórnych musi jednak dość dobrze opłacać się w Londynie, jeżeli jeden lekarz jest w stanie ponieść koszta przewiezienia obelisku przed którémi cofnęła się municypalność miasta Londynu

W. W.

W pruskich kołach wojskowych pilnie w tej chwili rozbieraną jest kwestya urządzenia stałych obozów. Istnieje podobno projekt założenia pięciu takich obozów, pod Toruniem dla czterech korpusów, pod Eisenach także dla czterech, pod Luneburgiem dla dwóch, pod Saarbergen w Lotaryngii dla trzech a pod Milhuzą w Alzacyi także dla trzech korpusów. Obozy stałe służyłyby zarazem za punkta zebrania w razie uruchomienia armii. Na froncie wschodnim, tuż nad samą granicą, opierając się o silną twierdzę, zebraćby się mogły 4 korpusy, na froncie zachodnim sześć korpusów, sześć zaś korpusów pozostałoby w środku kraju w rezerwie.

Fabrykacya dział Kruppa w Essen ubezpieczona jest w różnych niemieckich Towarzystwach asekuracyjnych na 38 milionów marek. Powyższa firma płaci tym Towarzystwom rocznie 48.000 marek.

Zakład gry w szwajcarskiej miejscowości kąpielowej Sakson, z dniem 31 b. m. będzie następnie zamknięty. Fiskus kantonu Wallis traci z nim 70 do 85 tysięcy rocznego dochodu, taki bowiem podatek opłacał przedsiębiorca rulety w Sakson.

Olbrzymi dyament. W dniu 15 bm. o godzinie 3 po południu odbyła się w pałacu Drout w Paryżu, licytacya sądowa na sprzedaż jednego dyamentu. Licytacya rozpocząć się miała od sumy 180,000 franków. Rezultat licytacyi dotąd nam nie znany.

Dzień zaduszny w Japonii. Japończykowie obchodzą święto zmarłych dopiero nad wieczorem. Cała ludność udaje się procesyonalnie na rozmaite cmentarze i za nadejściem nocy umieszczają na grobach zapalone latarnie, a ta iluminacya sprawia z daleka dziwne wrażenie. Krewni i przyjaciele zmarłych przynoszą z sobą znaczne zapasy żywności i napojów, których część spożywają, a resztę pozostawiają dla nieboszczyków. Ale najdziwniejszym jest zwyczaj budowania na ten dzień statków i okręcików słomianych, kilkanaście stóp długich, które z światłem i różnemi potrawami i owocami, przeznaczonemi dla zmarłych, puszczają na morze, na intencyą tych, którzy utonęli. Biedni rybacy chwytają później te statki i korzystają z wiktuałów i niedopalonych świeczek.

Od Redakcyi.

W. Pan S. M. w Rohatynie. Premie w książkach wydawane były tylko do 15 października, następnie zabrakło.

Zapowiedziane prospektem dla Szan. Prenum. Tygodnia 200 dzieł do wylosowania nie może przyjść do skutku z powodu iż rząd jak się dowiadujemy uważałby tę sprawę jako loteryę, a loterya w Austryi jest monopolem rządowym. W zamian za to roześlemy prenumeratorom pierwszy tomik „Spiewnika polskiego“, który postępuje do druku, a który sądzimy będzie miłym gościem w każdym domu polskim.

Prenumeratorom „Tygodnia“ zawsze przysługuje prawo nabywania za połowę ceny następujących dzieł:

Karola Darwina. Pochodzenie człowieka i dobór płciowy, wydanie illustrowane w 3 tomach, cena 12 złr. dla pren. 6 złr.

Reveillé-Paris, Starość, podręcznik lekarski. Cena 4 złr. dla pren. 2 złr.

Wundt, Wykłady o duszy ludzkiej i zwierzęcej 2 tomy. Cena 9 złr. dla pren. 4 złr.

Treść Nr. 16.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.